



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.  
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi  
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.  
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.  
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** Kto winien. — Reforma kodeksu karnego. — Głódowa pożyczka, nowella, p. Sewera. — Edmond Adam jako powieściopisarka I. p. Walerya Marrené. — Piśmiennictwo polskie: Dzieje polski streszczone przez Sokoła, p. Wł. Smoleńskiego; Wieczory florenckie (Causories florentines) Juliana Klaczki, p. J. Kotarbińskiego. — Piśmiennictwo włoskie (Filozofia): Elementi di psicologia G. Sergi. Lo studio della storia della filosofia R. Ardigo p. Cz. — Korespondencya Prawdy z Petersburga p. R. — Działanie światła elektrycznego na roślinność p. B. O. — Maszyna do stenografowania p. B. A. — Teatr p. S. K. — Librum veto. — W Perspektywie p. St. — Tydzień polityczny p. S. S. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

### KTO WINIEN.

Na trzech jednocześnie punktach zapaliły się w Europie ognie walki plemiennospołecznej, które wystrzeliły po nad zwyczajną miarę tego rodzaju wybuchów, mianowicie: w Rosyi, we Francyi i Czechach. Pierwsze starcie — ludu rosyjskiego z żydami — było najostrzejsze, drugie — francuzów z włoskami — najslabsze, trzecie, którem obecnie zająć się mamy, chociaż jeszcze niestłumione, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zbyt szeroko płomieni swoich nie rozpostrze.

Czesi — studenci i robotnicy — pobili Niemców; taka jest krótka historia awantury. Jeżeli uprzytomnimy sobie zasadnicze rysy charakteru czeskiego i jego świeże stosunki z domem panującym; jeśli zważymy, że dotąd narodowość swą ratowali środkami spokojnego i prawnego oporu, nie zaś gwałtownością i siłą, to ów wybuch przedstawi nam się poniekąd zagadkowym. Czuje to każdy, że w wojowniczym wystąpieniu Czechów jest coś niespodziewanego, nienaturalnego. Należy ono do tych wypadków, przy których wieści prostaczkę się żegna zdumiony, a polityk jeden z swych rachunków przekreśla. Każdego zaskakuje pytanie: co Czechów sprowadziło z dotychczasowej drogi?

Pytanie to nasuwa myśl tajemnego podpalenia — i to podpalenia ręką niemiecką. Jak w każdym zamieszaniu, podobnie i w tem trudno jest odrazu wysledzić tę pierwszą iskrę, która spowodowała pożar; i dlatego dotąd ma swoją rację przypuszczenie, że skrzęsali ją Niemcy. Tracąc coraz bardziej grunt w Czechach, przerażeni ciągle wydobywaniem się tego narodu na wierzch, mogli oni zrecznie po-

sianą burzą, chcieć przeciąć proces jego wyzwalania się. Oddawna już prasa niemiecka zawistnem okiem spoglądała na każde przez Czechów odzyskane prawo, na każdy łaskawszy dla nich uśmiech panującej dynastyi. Nie starło się nam jeszcze z pamięci wspomnienie zażartej walki o fundacyę narodowego uniwersytetu, który był może najbliższą pobudką do obecnej awantury. Udział więc w niej rąk niemieckich leży w zakresie prawdopodobieństwa, tem bardziej, że zarówno one są do tego zdolne, jak i sposób odnoszenia korzyści z otrzymanych niby niewinnie guzów w polityce wypróbowany. Znana historycznie obluda rasy germańskiej wobec Słowian wypisała tej rasie takie świadectwo moralne, że ono zawsze ściaga na nią podejrzenie nawet wtedy, gdy występuje jako skarżąca. Narody, jak ludzie, mają swoje opinie, które padają zawsze na szalę wydawanych o nich wyroków. Nikt zaś chyba nie zaprzeczy, że opinia Niemców w stosunku do ludów pochłoniętych, a przedewszystkiem do Słowian nie cieszy się chyba szczególnem uznaniem. Jeżeli Prusy mogły zdruzgotać Francję, stawszy się niby ofiarą jej napadu; jeżeli mogły i umiały przygotować sobie tak wielką zaczepkę, to dla czegożby ich współplemieńcy nie mogli i nie umieli urządzić sobie w Pradze małej kome-dyi, której krwawe rozwiązanie pozbawiłoby Czechów świeżych nabytków polityczno-społecznych? Byłby to zresztą najpewniejszy sposób rozbrojenia nieprzyjaciela, gdyż — jak rzekliśmy — sposób bicia i krzyczenia, że się jest bitym, niejednokrotnie okazał już swą skuteczność. To też obecne krzyki prasy niemieckiej wydają nam się jak gdyby umyślnie zgóry przygotowaną serenadą, której wszystkie nuty są oddawna znane.

Jeżeli tylko śledziliście, czytelnicy, za

biegiem polityki, zwłaszcza w łożysku austriackiem, możecie samą domyślnością odgadnąć słowa skargi „pobitych“ Niemców. Biedni oni są upośledzeni kosztem ludów samorządem obdarzonych, we „własnym“ domu grają rolę kopciuszków i doznają poniewierki; rozzuchwaleni pieśczętami rządu czesi bezkarnie rozbijają głowy cywilizatorów — oto myśl głównych zwrotek obecnej piosenki, zakończonej westchnieniem w stronę księcia Bismarcka, który sam jeden tylko umie otaczać swoje plemię opiekunchem skrzydłem. Naturalnie rozplakani trubadurów nie mieliby nie przeciwko temu, gdyby żelazny książę oswobodził nieszczęśliwą Austrię od słowiańskich smoków i przycisnął do swego łona, zgniółszy zarazem owe jadowne gadziny metodą w Poznańskim dostatecznie wypróbowaną. Dziś już żale i gniewy niemieckie płyną bardzo obfitym potokiem; bądźmy jednak przygotowani, że natchnienia w tym kierunku nie zbraknie, zwłaszcza gdy bijatyki na ulicach Pragi szybko nie ustaną. Wystarczą one w zupełności do tego, ażeby grabarze niemieccy wykopali głęboki dół dla Czechów, jako narodu barbarzyńskiego, niezdolnego do samorządu, do cywilizacji, do życia, zasługującego jedynie na szybki pogrzeb dla bezpieczeństwa kultury germańskiej, która zaraziła się jego wyziewami a na jego mogile mogłaby sadzić wyborne, własnej uprawy kartofle.

Chociaż cały wywód ten wynika logicznie z usposobień, zasad i dotychczasowych czynów szczepu niemieckiego, porzucmy jednak grunt przypuszczenia i przesunmy całą winę obecnego zamieszania na Czechów — kto jednak pozostanie właściwym jego sprawcą? Kto w duszy tego burzącego się ludu złożył materiały wybuchowe? Kto przygotował ten zapas gniewu, oburzenia, nienawiści? Przecież



to nie obdarowani napastują dobroczyńców, ale uciśnieni wrogów. Musielibyśmy naprzód dziwić się psu, że czasem ukąsi rękę, która go tylko bije, gdybyśmy chcieli się dziwić narodowi, że czasem skaleczy swych krzywdzicieli. Czy zaś Niemcy, pytamy o to ich własnego sumienia, nie krzywdzą Czechów? Czy ich nie wydzierają z praw, nie wypierają z ziemi, nie gnębią wszystkimi środkami uposiedzenia? Czy dają im miłość i sprawiedliwość, a odbierają gwałt i nienawiść? Zaiste dziwne żądanie, ażeby z posiewu trucizn wyrastały słodycze; dziwna bezczelność „rasy zwycięskiej“, ażeby deptana przez nią nie pomściła ucisku nawet nierozwagą. Tak, nierozwagą, gdyż najszaleńszemu czynowi nie możemy odmówić jego... przyczyn. Bez wątpienia, czesi rozpoczynając lub tylko przyjmując walkę ze swymi panami, robią złe, bo jako skazani zgóry na porażkę szkodzą sobie, pozbawiają się nabytków legalnego ratotowania swego bytu, dopuszczają się samobójstwa. Ale czy osądziwszy ich wybuch miarą użyteczności, nie powinniśmy moralną za niego odpowiedzialność złożyć na Niemców? Kto ich ubezwłasnowolnił, ten musi być poczytany za ich działania. Naród wychowany w nienawiści do swych przewodników, nie może jej nie objawiać, zwłaszcza w tych sferach, gdzie rozum nie panuje nad uczuciami. A chociażbyśmy najsurowiej potępił bijatyki uliczne, czy cała ich suma nawet w przybliżeniu zrównoważy ilość krzywd, których czesi doznali i doznają? Czemże jest wiekowa niedola wobec kilkudziesięciu guzów, przez obie strony wzajemnie sobie udzielonych? Na nieszczęście, przy sądzeniu tego rodzaju wypadków zamyka się historia aż po dzień wczorajszy i bierze się teraźniejszość w zupełnym oderwaniu. Tymczasem w każdej zacisniętej pięści czeskiej nietrudno byłoby znaleźć kamień Białej Góry...

Bez echa ucziwego więc przebrzmia

wszystkie dzwony prasy niemieckiej, jeżdżące na gwałt i dopominające się zemsty. Milczały one, gdy w Prusach prześladowano Żydów, chociaż ci zjednoczyli się z ludnością miejscową, milczą zawsze, ile razy gdziekolwiek odezwie się szczerą skargą. Na pytanie: *kto winien zamieszek w Pradze*, nie ma dwu odpowiedzi dla tych, dla których niema dwu miar, dwu sprawiedliwości. Niechaj Niemcy splećą naprzód wszystkie długie względem Czechów, niech dopełnią wszystkich obowiązków, niech przestaną karczować ich ziemię dla obsiania jej swoją kulturą, niech przywrócą wszystkie prawa narodowości czeskiej, a wtedy dopiero mogą upomnieć się o poszanowanie własnych. Zapewnie, jeżeli całą walkę zamknijemy w kole interesów jednostkowych; jeżeli obecne starcie rozpatrywać będziemy ze stanowiska strat tego lub owego Niemca, który został niewinnie poturbowany w Pradze, musimy go żałować; ale jeżeli ogarniemy cały proces boju dwu żywiołów i stracimy z oczu zapasy jednostkowe, wtedy całą naszą sympatię, całe nasze miłosierdzie przelejemy na inną stronę. O każdym pobitym Niemcu gazety uwiadomają świat telegrafem; a o iluż zmiażdżonych Czechach nawet miejscowa władza wiedzieć nie chciała! Zdźbłem jest awantura uliczna wobec olbrzymich belek, tkwiących w oku niemieckim...

## REFORMA KODEKSU KARNEGO.

Jak wiadomo już czytelnikom *Prawdy*, osobna komisja zajęła się rozpatrzeniem i wprowadzeniem zmian do kodeksu karnego, który w wielu artykułach okazuje się dziś tak surowym, że jego zasady w żaden sposób nie dadzą się pogodzić z podstawami cywilizacji i prawami najumiarkowańszej swobody. Przystarzeniu ule-

gły nade wszystko przepisy w tak zwanych wykroczeniach religijnych, które też mają być gruntownie zmienione. Zaznaczymy kilka główniejszych artykułów, przeciągających nadmiernie swoją obowiązkową siłę.

Mimo naczelnej zasady, zapewniającej w państwie wolność wyznania, istnieją w kodeksie kary, które ją najzupełniej znoszą. Bo jeżeli „za odwiedzenie przez namowy, uludzenia lub inne środki osoby prawosławnego, rzymsko-katolickiego lub innego chrześcijańskiego wyznania od jej religii do niechrześcijańskiej winny ukarany zostanie pozbawieniem wszelkich praw i zesłaniem do robót ciężkich w twierdzeniach na czas od ośmiu do dziesięciu lat“ — to o żadnej swobodzie wiary nie może być mowy. Zdawałoby się z tego artykułu, że ona przynajmniej istnieje w zakresie chrześcijaństwa; tymczasem jeden z następnych przepisów wyraźnie zastrzega, że: „kto osobę prawosławnego wyznania skłoni do przejścia na inne *chrześcijańskie* wyznanie, ukaranym zostanie: zesłaniem na mieszkanię do gubernii tomskiej lub tobolskiej.“ Niedosć tego. Inne artykuły posuwają surowość prawa jeszcze dalej: „ktoby wiedząc, iż żona jego, dzieci, lub inne osoby, nad którymi prawo powierza mu dozór i pieczę, mają zamiar odstąpić od wyznania prawosławnego, *nie usiłował* odwieść ich od tego zamiaru i dla przeszkodzenia im w dopięciu go nie użył żadnych, od niego zależnych, prawem dozwolonych środków, ukarany zostanie aresztem od dni trzech do trzech miesięcy.“ Na podobnym stanowisku stoją wszystkie artykuły tego działu, przeczące zasadniczemu prawu jednostki w każdym państwie ucywilizowanem, które jej zapewnia zupełną wolność wiary.

Niezwykłą surowością odznaczają się również kary, określone „za bluźnierstwa i obrazę religii.“ Przestępstwa tego rodzaju kodeks karze surowiej niż zabójstwa, a rozciąga winę nie tylko do umyślnych, ale na-

## GŁODOWA POŻYCZKA

NOVELLA  
Sewera.

2)

Nie miała czasu ani zapłakać, ani dzieci popieścić. Cały dzień przy robocie — wieczorem trzeba było warzyć wiececzkę, świtaniem śniadanie i objad. I żeby sobie zato zapracowała choć spokój; żeby głód ciśnący się do chaty odegnać mogła! Serce się jej ścisnęło, czarne myśli obsiadły mózg, rady sobie dać nie mogła.

Dzieci patrzyły na nią smutne, choć się nie skarżyły. Komin czarny bez ognia wyglądał ponuro; wpadnie przez niego do izby wiatr, przejdzie po kościach i wyleci. Strapiona kobieta spojrzała na dzieci i uśmiechnęła się smutnie jakoś, rzewnie, coś ją załaskotało w gardle, a w piersiach zaparło... Nareszcie się przemogła.

— Kupiłam za cztery centy grudek soli, będziemy mieli do ziemniaków...

— Ziemniaki, ziemniaki — szczebiotała Marysia podskakując. Chwyciła się matczynej spódnicy i pobiegła za nią.

W sionce pod ścianą wykopany był dołek, przykryty słomą, założony deską tak, że nie bardzo i znać było. Jaga i Antos od-

ważyli deskę, rozgarnęli słomę, wydobywając do przyniesionego koszyka ziemniaki.

— Mój Boże — skarżyła się kobieta — pan Jezus nie dał jakoś tego roku chleba, — dawniej to się zebrało z tego samego kawałka i ośm korcy, dziś nie ma jak dwa, — a tu jeszcze trzeba schować na sadzenie. Z wiosny wymroziło, a potem wiatr wypalił.

Dzieci napełniły koszyczek, gromadka wróciła do izby. Antos podawał patyki, Jagusia układała je na kominie, matka zapaliła garstkę słomy, ogień buchnął, dzieci się rozśmiały. I Jaś się rozśmiał, leżąc oparty głową na poręczu łóżka. Zimno ustępowało mu powoli i chłopiec widocznie trzeźwiał.

Skrobano kartofle z zapalem.

— Moje dzieci, okrasz nie mam — mówiła matka. A skądbym ją wzięła! Krowina posła na pogrzeb. Bo i jakże nie dać jegomości na chwałę bożą, — a tu zaraz wyciąga rękę organista, i grabarzowi płac i dziadom, a ludziom podziękuj. Restę wzięli za podatek i nawet na bucięta dla was nie stało.

— Co tam matuś — zawołał Antos — jak urosnę, jak ci nie złapę za siekiere, jak ci nie zaćnę rąbać sągów, abo piłą trackę dla zyda ciąć, to ci taką galantą jałowicę na jarmarku kupię, ze zobaczysz.

Dzieci się uśmiechnęły na wspomnienie galantej jałowicy.

— Co napotka — mówił dalej o krowie

chłopiec, aby pocieszyć matkę — zaraz zezre, a jak się obje, to będzie wołać na matusię buu — a buu, żeby ją matsia co żywo doili.

Serdeczny śmiech dzieci przerwał opowiadanie Antosia, Jaś im z łóżka wtórował, uśmiechnęła się i matka.

— A cem ja cię uchowam moje dziecko cem, żebyś ty urosł i miał siłę do siekiery!

— Cem, pochwyił chłopiec, a dyć Gębala bogac. Na wiosnę pójdę do niego służyć za życie i przyodziewek, toć tam przecie skrzepnę na kluskach z omastą.

— Matsiu Antos skrzepnie, jak się patrzy.

— Ai ja skrzepnę zobaczcie tylo odemnie zimno odleci — odezwał się Jaś.

— A możeby go i Ulinkę głąbiem okadzić — szepnęła Jagusia, podsuwając radę matce.

— Ej kadzić głąbiem, to ino dobrze na kołtun moje dziecko; zimno się głąbia nie boi. A może tam da Bóg, że i samo odleci. Oskrobane i wypłukane kartofle wrzucono do garnka, zalano je wodą i przystawiono do ognia. Jagusia z Antosiem tłukli sól obuchem siekiery.

Zrobiło się na dworze ciemno, a w izbie ciepło, woda zawrzała, kartofle pękały i same rozsypywać się zaczęły. Dzieci ciekawie zaglądały w garnek.

— Spróbujcie no matusiu, może już zmiękły — szczebiotała Marysia.

Kobieta wyjęła łyżką pęknięty ziemniak,



wet bezwiednych znieważeń religii. „Jeżeli dowiedzionem będzie, że dopuszczający się w publicznem miejscu wyrazów, mających *pozór* bluźnierstwa przeciw Bogu, łżenia świętych pańskich lub ganienia chrześcijańskiej religii i kościoła, uczynił to *bez zamiaru obrażenia* świętości, lecz jedynie z nierozumu, ciemnoty lub w stanie opilstwa, skazany zostanie na zamknięcie w domu poprawy od roku jednego do dwóch lat z utratą niektórych szczególnych praw i przywilejów, albo na zamknięcie w domu poprawy od sześciu miesięcy do dwóch lat.“ W artykule tym zbiega się cały szereg zagadnień społecznych, od poczytalności do oświaty. Czyż człowiek, będący w stanie „opilstwa, nierozumu lub ciemnoty“ może być odpowiedzialnym za swe słowa, zwłaszcza gdy społeczeństwo nie daje mu możności wyjścia co najmniej ze stanu „nierozumu i ciemnoty?“

Następne artykuły powiadają: „kto w dziełach swych, drukowanych lub nawet rękopiśmiennych, jakimbyś sposobem rozszerzanych, dopuści się bluźnierstwa przeciw Bogu, łżenia świętych pańskich lub ganienia chrześcijańskiej religii i kościoła, albo znieważenia Pismaś-go i sakramentów św., ten ukarany zostanie pozbawieniem wszelkich praw i zesłaniem na osiedlenie w odleglejszych miejscach Syberji; przekonany zaś o szydercze, jawnego lekceważenia dowodzące wyśmiewanie przepisów i obrzędów kościoła chrześcijańskiego lub chrześcijaństwa wogóle, skazany zostanie na osadzenie w więzy od sześciu miesięcy do roku jednego.“ Artykuły te przedstawiają bardzo wielkie niebezpieczeństwo dla nauki. Łącznie bowiem z niepowściągliwym urwisem na jednej ławie oskarżonych zasiąść może najpoważniejszy badacz, którego wywody uznane zostaną za „bluźnierstwo“ i „jawne lekceważenie chrześcijaństwa.“ Chociażby to nie leżało w intencjach prawodawcy, znaleźć się mogą sędziowie, którzy elastycznemu wyrazowi

„obraza religii“ nadadzą znacznie, poczytując za winę wszelką myśl niezgodną z wymaganiami ortodoksji. Pojęcie bluźnierstwa jest bardzo względne; wszak i Galileusz, głosząc ruch ziemi, „bluźnił“, a jednakże my dziś bezkarnie w to bluźnierstwo wierzymy. Co jest obrazą Boga w przekonaniu jednego, nie jest nią w przekonaniu drugiego. Zresztą Bóg w rozumieniu chrześcijańskiem posiada dość siły, ażeby się nie obawiać ludzkich obmów i nie uciekać pod skrzydła ludzkiej opieki.

Przejdźmy do innej kategorii przestępstw, mianowicie do kar na samobójców.

„Jeżeli kto — powiada kodeks — nie wskutek obłąkania, niemocy, lub czasowej z powodu choroby, nieprzytomności umysłu, lecz z zamiarem życie sobie odeberze, uważać się będzie za bezwłasnowolnego, nie będzie miał prawa czynić żadnych rozporządzeń, zapisów i t. p. Moznaby usprawiedliwić ten przepis, gdyby on dotyczył właśnie obłąkanych i nieprzytomnych; wówczas bowiem prawo wychodziłoby ze słusznej poniekąd zasady (poniekąd tylko, gdyż trudno określić stan zdrowia nieboszyka), że wola wariatów i chorych szanowaną być nie powinna. Ale w obecnej postaci kodeks popełnia nielogiczność, karząc człowieka, który skutków kary, jako nieżywy, ponosić nie może. Jeszcze słabszą podstawę ma artykuł następny: „Przekonany o usiłowanie odjęcia sobie życia... ulegnie, jeżeli jest chrześcijaninem pokucie kościelnej.“ Więc człowiek, którego życie tak zgnębiło, że pragnie je sobie odebrać, który już wyczerpał wszystkie środki ratunku, który doszedł do krańca rozpacz, ten człowiek, wbrew swej woli ocalony, ma być karany? Czyż samobójstwo jest przyjemnością, której można sobie odmówić? Czyż to jeden z wybryków złej woli, a pokuta kościelna skutecznem dla niej wędzidłem? Kto kładzie lufę pistoletu w usta, ten chyba o takich drobiazgach nie myśli.

Rzecz naturalna, że wskazaniem tych kilku punktów nie mamy zamiaru wyczerpywać wszystkich słabych stron kodeksu; zresztą krytyka taka byłaby o tyle daremną, że nie wpłynęłaby wcale na postanowienia komisji. Dotknięte wyżej anachronizmy dają nam jedynie próbkę tych zadań, które na niej ciążyą i które w innych państwach europejskich już dawno rozwiązane zostały w sposób należyty. Samo nawet sumienie wykonawców prawa łagodzi ciągle jego surowość. Gdyby w sądach literalnie stosowano wiele artykułów kodeksu, Syberja zapełniłaby się ludźmi, którzy są najspokojniejszymi członkami społeczeństwa.

Nadzwyczajna rzadkość kar, wymierzanych za „bluźnierstwa“, przekonywa dowodnie o ich nadmiernej i powszechnie uznanej srogości. Bez tej osłony w obecnych naszych sądach powtarzałyby się sceny średniowieczne, wyroki Inkwizycji, chociaż bez stosów i tortur.

Oprócz artykułów wzmiankowanych gazety rosyjskie donoszą o zmianie innych przepisów kodeksu karnego. I tak: pogróżki mają być utożsamione z obelgami słownymi; bójki i pobicia — odniesione do gwałtów, nie zaś do prostych obelg czynnych; obraza honoru rozpadnie się na trzy rodzaje: obraza osobistą, potwarz i karygodne rozgłaszanie krzywdzących wieści; powództwo cywilne o zniesławienie ma być usunięte; obelgi osobiste obciążone będą karą 300 rs. aresztem do 3 miesięcy lub więzieniem do 4; potwarz podlegać będzie karze 500 rs. łącznie z aresztem do 3 dni lub więzieniem do 8 miesięcy; prawo zaś dochodzenia obelg osobistych (nie potwarzy) zostanie ograniczone do 1 miesiąca.

W projektach tych przebija się wyraźnie chęć staranniejszego osłonięcia czei jednostki, która dziś, słabo z tej strony zabezpieczona, uciekać się musi do barbarzyńskiej rozprawy pojedynekowej.

ostudziła go, osoliła i podała Marysi.

Uradowana dziewczynka pochwyciła go drżącemi z niecierpliwości rękami: był jeszcze za gorący, upadł jej z rąk na ławę; wtedy zaczęła na niego dmuchać, a potem obłupywała z wierzchu ostudzone kawałki i kładła je do ust.

— Może i jabym jednego dostał — odezwał się niesmiało Jaś.

Matka podała mu, głaszcząc go po buzi.

— Skrzepileś się dziecko.

— A, ino — szepnął Jaś.

Również dostali po jednym Antos i Jagusia. Tymczasem ziemniaki uwarzyły się, były miętutkie i sypkie. Wodę z nich matka odlała, potem je osoliła, utłukła i wysypała na miskę. Obudzono Ulinkę i sześcioro w milczeniu zasiadło do jedzenia.

— Zeby tak choć z ośm korcy, tobym przezimowała z biedą — pomyślała Jagielina. Na sól i omastę uprzedłabym przecie. Ale cóż, pan Jezus nie dał biedny człowiek nie poradzi.

Węgłe czerniały i gasły, wiatr przez komin wlatywał, dzieci jedno po drugim powsuwały się pod pierzynę, matka położyła się w środku — i za chwilę dały się słyszeć miarowe oddechy śpiących. Wiatr tylko przez komin wpadał do izby, zahuczał, zaświstał i legł pod łóżkiem lub ławą.

## II.

Dzień po dniu mijały chyżo, bo jakoś i jesień była łagodna, i zarobku nie brakło.

Jagielina umiała miadlić len i konopie. Gdy się skończyła robota we dworze, miadliła po wsi gospodyniom. Chociaż tam roku tego nie było urodzaju i ludzie przepowiadali głód, to przecie nieraz wracając z zarobku, przyniosła do izby i mleka w garnuszku i kawałeczek sperki na okrasę. Antos uprosił sobie poganiaczkę przy pługach dworskich, a że był uciесzny, lubił go fornale i co dzień „szóstkę“ przynosił do domu.

Matka chowała pieniądze na buty dla chłopca i przednowek, uśmiechała się jakoś samochoć, nadzieja ośmielała ją. Jagusia zносиła patyki i pilnowała dzieci. Gromadka przyczajona, bojąc się zazdrośnych oczu nieszczęścia, nie śmiała głośno się radować. Jeden Antos, uważając się już za parobka, miał minę pewną siebie.

I mimo że się kryli jak mogli, nieszczęście ich znalazło.

Od paru już dni mówiono po wsi o licytacji.

Ludzie gadali na konwisarza i Wątoraka, ale na to nie było rady.

— Bo i komuż się poskarżyć — mówili.

Było to jakoś zaraz po południu, gdy znowu zajechała bryczka przed chatę Jagieliny. Wyskoczył z niej pan sekwestrator prywatny, za nim radny.

Weszli do izby. Przełknięte dzieci skryły się pod pierzynę.

— Tu już niema nic do zabrania — odezwał się sekwestrator, spoglądając po izbie.

— A nie — odpowiedział radny; ziarna u niej nie oświadczy, len sprzedała, kozuch poszedł do ludzi jeszcze na wiosnę. Ma tam pono trochę ziemniaków, ale gdzieś dobrze schowała.

Wpadła do izby Jagusia.

— Gdzie schowane kartofle — wrzasnął na dziewczynę sekwestrator.

— Nie wiem — ledwie że mogło wymówić zaleknione dziecko.

Pan sekwestrator prywatny zamierzył się laską — dziewczyna przyklekła ze strachu.

— Gadasz?!

— Nie powie — szepnął Wątorok. A toć przecie, — wskazał oczami pierzynę — warta ze dwanaście papierków.

— Bierz — krzyknął pan sekwestrator prywatny.

Radny pochwycił za pierzynę. Dzieci z przerażenia wpiły w nią zaciśnięte palce. Pan sekwestrator prywatny uderzył laską po kureczowo ściśniętych rękach dzieci, tak że słyszał było odgłos spadającego kija.

Nareszcie Wątorok wydarł pierzynę. Sekwestrator się rozśmiał, dzieci zaczęły płakać z bólu i strachu.

— Ha, jakie to te chamskie plemieżarte. Jak wyrosnie, będzie rozbijać na publicznych drogach.

— Ma czego bronić! — wtrącił Wątorok — trochę pierza i to starte na proch.

Zawinał zdobywcę, aby jak najmniej zajęła miejsca w wyładowanej bryczce.



W pewnym związku z reformą kodeksu jest zniesienie publicznego wykonywania kary śmierci, które — jak słusznie wyraził się jeden z dzienników rosyjskich — „przyczyniło się tylko do zdziwienia obywateli”. Każdy krok naprzód jest wielki tam, gdzie ich trzeba zrobić bardzo dużo.

## EDMOND ADAM

jako powieściopisarka.

### I.

Są dzieła, a szczególnie powieści, których zaletę stanowi nazwisko autora, które dzięki jemu nabywają rozgłosu i rozchodzą się po świecie. Odległy czytelnik, sądzący jedynie o utworze i niebiorący w rachunek faktów, skupiających uwagę około autora, nie może pojąć, dla czego książka, nieodznaczona często ani siłą talentu, ani myślą nową, uczyniła tyle hałasu, zaciekała myślący ogół i rozbiegła się w niezliczonej liczbie egzemplarzy.

Do podobnych książek należą powieści Juliety Lamber, pod którym to pseudonimem występuje w literaturze Edmond Adam, wdowa po deputowanym, kobieta zajmująca wybitne stanowisko w literaturze i polityce, jedna z tych osobistości, które nawet w Paryżu, w tem ognisku bogactwa, inteligencji i sztuki, umieją zwrócić na siebie uwagę.

Pani Adam posiada wszystkie dary, które kobietę stawiają na świeczniku: piękność, majątek, wysokie położenie. To stannie nadaje jej przyjaźń Gambetty. Inteligentna i wykształcona, zdołała wyrobić sobie stanowisko towarzyskie, stała się duszą literackiego i politycznego stronnictwa, którego wyrazem jest *Revue nouvelle*. Organ ten, założony i prowadzony przez panią Adam, przeciwstawia się rutynicznej, akademickiej, a co gorsza — ogólnie obwinionej o zaprzędanie się jednemu z zagranicznych mocarstw *Revue des deux mondes*.

Kierunek nowego przeglądu streściła redaktorka we wstępnym artykule. Zasługuje on na uwagę, ponieważ wypowiada cały program jej działalności. Program ten, jak zwykle, zawiera więcej słów i deklaracji, niż treści.

Pani Adam, powołując się na filozofię grecką, a głównie na Thalesa, który pierwszy zwrócił się do natury i zaczął ją badać, dowodzi, iż my we dwadzieścia z górą wieków po nim tak samo badamy zjawiska społeczne. Według niej, jak pokolenia, podobnie wiek każdy doszedłszy do swojej mękości, zapładnia wiek następny i nosi w sobie zagadnienia przyszłości. Tym sposobem sprawy społeczne, trapiące koniec dziewiętnastego stulecia, w dwudziestym dopiero znajdą swoje rozwiązanie.

Jak chemia powstała z alchemii, astronomia z astrologii, tak zdrowa socjologia zrodzi się z socjalizmu.

Wprowadzić ją w życie mogą tylko szczepki łacińskie, którym autorka przyznaje prawo przodownictwa w dziejach rozwoju ludzkości, a szczególnie Francja, do której czuje gorącą miłość łącznie z zamłowaniem wolności.

Można śmiało powiedzieć, że program ten nie zawiera nic nowego — nic, czegoby średnio wykształcony człowiek nie mógł równie dobrze a może lepiej, jaśniej i prościej sformułować. Szczególnie ustęp o wiekach, rodzących następne, jest przenosią dość nieszcześliwą, boć wieki nie mogą być porównane do życia ludzkiego, nie mają okresu dzieciństwa, mękości i dojrzałości. Podział czasu jest rzeczą zupełnie dowolną; wiemy bowiem dobrze, iż każda chwila rodzi następną, a wiek równie dobrze można zacząć liczyć od każdego roku. Pani Adam przemawia z dumą właściwą swemu narodowi, po części usprawiedliwioną w przeszłości. Miłość zaś jej swobody jest rzeczą względną, jak wiele uczuć ludzkich. Polityczne widoki czasami stają na przekór tej nieugiętej władczyni i z tego powodu zdarza się, iż autorka nie koniecznie szanuje w drugich to, czego pragnie dla siebie.

Te ujemne strony partii politycznej, do której pani Adam należy, naturalnie znalazły odbicie w jej *Przeglądzie* i salonie. Redaktorka siłą wpływowego stanowiska skupiła około siebie rozmaite żywioły; to też ma ona obecnie w Paryżu jedyny prawie salon, otwarty na oścież dla wszystkiego, co odznacza się jakąśbądź znakomitością.

Taki salon już sam przez się stanowi potęgę kobiety, która umiała go stworzyć.

W Paryżu, w ojczyźnie życia towarzyskiego, to samo już stanowi tytuł do sławy i wdzięczności narodowej. Salon ma za sobą powagę tradycji, przywodzi na myśl szereg inteligentnych kobiet, poczynawszy od słynnej pani de Rambouillet, bliższych nam pani Geoffrin, lub pani Necker, aż do bohaterki rewolucyjnej pani Roland, które dzierżyły berło rozumu, dobrego smaku i opinii, przyczyniły się dzielnie do ugruntowania wiary we wszechmoc wdzięku, dowcipu i zręczności niewieściej.

Rzeczywiście, w swoim czasie te kobiety miały królewską władzę; rządziły nie tylko tak zwanym światem, nie tylko światem umysłowym, ale przezeń wywierały nacisk na wypadki, tak iż salony ich stanowiły ogniska, w których ważyły się nieraz losy narodów.

Po większej części jednak królowe salonów poprzestawały na berło towarzyskie, na potęgę faktycznej, której utrzymanie wymagało całej ich działalności, i nie sięgały po wawrzyny autorskie. Były natomiast artystów, poetów, filozofów, były ich przyjaciółkami, powiernicami, kochankami, dzieła ich rodziły się i wychodziły na świat pod ich egidą, sława twórców była ich dziełem, dzieliły się nią, i na tem poprzestawały zupełnie. Pióro brały do ręki li tylko dla pisanja listów. To też kunszt korespondencyjny posunięty był z tego powodu do wysokiego stopnia; kobiety wysadzały się na najprostszymi bilecikami, owe liściki obiegały z rąk do rąk w odpisach, a wiele z nich świadczy o wielkiej zręczności i dowcipie szafowanym na powszedni użytek.

Obecnie salony nie mają i mieć nie mogą znaczenia, jakie miały dawniej. W naszym demokratycznym, pracowitym wieku, nie posiadamy dość czasu na owe wysiłki i igraszki dowcipu, które stanowiły istotę towarzyskich stosunków. Waga społeczna przeniosła się od warstw uprzywilejowanych i próżniących, do warstw oddanych pracy, a te z konieczności szukają w towarzyskich stosunkach nadewszystko wytehnienia i swobody, nie zaś pola popisu.

Stanowi to zasadniczą różnicę, która odbija się w charakterze dzisiejszych salonów. Gospodynie ich przestały być królowkami, wyglądają raczej na utrzymujące domy zajazdu. To też dziwić się nie mo-

Jagusia uciszała wystraszone i zziębnięte dzieci, rozpalila ogień na komini, chcąc je ogrzać i rozweselić.

Ostrzeżono Jagielinę, biegła do chaty, drząc na całym ciecie. Ciemne płatki latały jej przed oczami, uważała je za zły znak; ziemia przed nią ustępowała, świat się kołował, kobieta pędziła, chwytając prędko w płuca powietrze, którego, zdawało się, brakowało dla niej.

Stała na progu, spojrzała dokoła — na łóżku garsć tylko słomy, dzieci zziębnięte, sinawe, wystraszone grzały się przy komini. Nie miała siły płakać, nie była w stanie skarżyć się, nie mogła przeklinać. Błada, z oczami wlepionymi w puste łóżko, siadła cicho na ławie, nie przemówiwszy słowa; dzieci ją obstąpiły, głaskały, pieściły, lecz nie mogły wydobyć z niej ani jednego wyrazu. Marysia patrząc na zgnębiającą matkę, przestraszyła się i płakać zaczęła. Pomagała jej Ulinka — Jaś nie-spokojny pociągał matkę za zapaskę.

— A cóż wam to, że nie przemówicie i słowa.

Do chaty zajrzała Smoleńka. Dzieci ją przywitały, całując w rękę.

Widziała Smoleńka, jak Wątorzek wynosił za sekwestratorem pierzynę i zaczęła okropnie pomstować na tego draba i odgrażać się.

Wtedy dopiero z oczu Jagieliny wytrysnęły łzy, lecz się nie skarżyła, ani narzekała.

— Nie płaccie tak ciężko — odezwała się Smoleńka, bo imnie coś zaczyna dławić. Dałabym wam, ale Bóg mi świadkiem, sama jestem biedna.

Wybiegła z izby i za chwilę przyniosła dość jeszcze dobrą, łataną płachtę. Przykryła nią łóżko.

— Tymczasem wystarczy i to — będę ja tam jeszcze sukać dla was po wsi jakich łachów, aby się ino zasłonić od zimna.

Wrócił Antos od poganiaczki i przyniósł szóstkę; była to już piętnasta. Spojrzał na łzy matki, na łóżko i od razu zrozumiał wszystko.

— Byli tu pewno konwisarz z Wątorkiem — szepnął do Jagusi.

Jagusia kiwnęła głową.

Chłopiec popatrzył na łóżko, podumał i wysunął się z chaty.

Za nim wybiegła siostra.

— Jantos nie pomozes mi to skrobać ziemniaków — wołała.

— Zaraz wrócę — odpowiedział chłopiec, galopując w stronę ogrodu dworskiego.

Widział, jak ogrodnik za parkan wyrzucił starą słomianą matę, przeszywaną sznurkiem; pobiegł, zwinął ją, założył sobie na ramię i przyniósł do chaty.

— Widzicie, jaka ci pierzyna, świeci się jakby złota — odezwał się, rozkładając matę na łóżku.

Dzieci, ciesząc się, zaczęły wołać:

— Matsiu, pierzyna ze złota, — patrzcie ino, jak się świeci.

Matka spojrzała z po za łez.

Marysia i Ulinka w drapały się na łóżko i schowały po za matę, okrywając się płachtą.

— Mata ciepła jak pierzyna — chwaliły, wychylając główki z po za słomy. Jaś, ciekawo na wszystko, poszedł za przykładem sióstr.

— Ciepłutka, matusiu, jakby była przetykana pierzem i nie ci nie ciężka.

— I cóż nam konwisarz z Wątorkiem zrobią — odezwał się wesoło Antos. Cego się tu trapić matusiu?... A wiecie, że może zostanę we dworze przy koniach. To i chleba co tydzień przyniosę bochenek do chaty.

— Weźże mnie mój Jantos na poganiacza — prosił się Jaś, wychylając głowę z za słomianej koldry.

— Na wiosnę — zobacys.

Pomysł Antosia okazał się wyborym. Mata lekka i ciepła.

Tymczasem na licytacji Wątorzek ze Szmulem na współkę, oprócz innych rzeczy, kupili pierzynę Jagielinę za sześć papierków. Pieniądze te poszły również na spłatę kosztów sekwestracji.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



zna, iż nie znajdując tutaj dostatecznego pokarmu dla miłości własnej, wskrzesicielka dawnych tradycji salonowych, pani Edmond Adam, nie poprzestała na stanowisku władczyni towarzyskiej, zdeponowanej poczęści, i postanowiła wnieść się w szeregi piszących, a w czasie, w którym powieść rozwijała się w literaturze, obrała sobie ten zawód. Ten bowiem rodzaj literatury nęci pozorną łatwością swoją, a przytem obejmuje wszystkie stosunki ludzkie, wszystko w nią bez wyjątku wciśnięć można; zdaje się więc dostępną każdej wykształconej jednostce. Słowacki w poemacie, rzucającym najwięcej światła na umysł twórczy i na genezę dzieła jego, tak mówi o swoich poetycznych dziełach:

„Jedne rodzą się z serca, drugie z głowy  
A trzecie z dziwnej twardej wiary  
W przeszłość, a czwarte obłok piorunowy,  
A piąte koń mi przywiózł kary.“

Otóż postaciom stworzonym przez panią Adam nie można przyznać żadnego z tych pierwiastków. Z pewnością nie powstały one w wyobraźni autorki w postaci mar dopominających się ciała, ale sama szukała ich pracowicie, zrodziły się one z woli podległej miłości własnej, a stempel tego pochodzenia jest tak wyraźny, iż omylić się na nim niepodobna.

Walerya Marrené.

## PIŚMIENICTWO POLSKIE.

**Dzieje Polski**, według najnowszych źródeł streszczone dla dzieci przez *Sokoła*. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa 1881, 16-a str. 153, II.

Kompromitującym i komicznym jest tytuł książeczki: autor (pewnie autorka) do podręcznika dla dzieci czerpał ze *źródeł* i to *najnowszych* i ze *źródeł* owych pracę swą *streszczał*... Nie rozróżnił pisarz rzeczy tak prostych, jak *opracowanie* i *źródło*, stąd kompromitacja owa i komizm. Brał naturalnie z opracowań, lecz czy z *najnowszych* i czy czerpał dokładnie?

Złe autor usadowił słowian, bo pominął obszary pomiędzy Elbą a Odrą (str. 2); wziął Lecha na seryo, wywiódł od niego lechitów i założyć kazał mu Gniezno. „Po wygaśnięciu rodu lacha, *naród nasz*, nade wszystko ceniący odwagę, obrał sobie za koczowniczą władzę Chrobotów, Kraka lub Krakusa, który zasłużył się ziomkom swoim przez zabicie smoka... Kneź ten założył nad Wisłą Kraków, gdzie *przeniósł stolicę* i dobrze się *polakom* za wyniesienie swe wywdziękzył... Córka Krakusa, Wanda, odznaczyła się też wielką miłością dla narodu; nie chcąc bowiem narażać *polan* na zemstę Rytygiera, rzuciła się w nurty Wisły“ (str. 2).

W dosłownie przytoczonym ustępie ileż niedorzeczności i błędów! Jaki to *nasz naród* po Lechu obrał na koczowniczą władzę Chrobotów, Kraka lub Krakusa, który — o ile wiadomo — smoka nie zabił i do Krakowa stolicy nie przeniósł. Nie uznaje autor odrębności chrobotów i polan, książąt jednych i drugich ustawia w szeregu, każe im panować w Polsce, której jeszcze nie było, przenosić stolicę i t. p.

Dowcipną jest geneza zabobności germanickiej: „ze Polska stanowiła pożądany łup dla sąsiednich Niemiec, dziwić się temu nie można; gdy bowiem Niemcy już wówczas przeludnionymi byli, Polska przy niewielkiej ludności obfitowała w urodzajną glebę, łąki i lasy; gdy Niemcy byli ciąglem teatrem wojen, Polska trudniła się rolnictwem; dla tego więc u Niemców brakowało chleba, któregośmy mieli nie tylko dosyć, ale nam go jeszcze starczyło na rozdanie“ (str. 4).

Za Mieszka I granice Polski rozciągały się „od morza Bałtyckiego po Karpaty“

(str. 9), pomimo tego Bolesław Chrobry „zagarnął Czechy, Morawę, Śląsk i Chrobację z Krakowem“, a obok tego „pomorzanom odebrał Gdańsk“ (str. 14). Św. Wojciech apostołuje za Mieszka I (str. 8). Bolesław Chrobry cudzoziemców sprowadza i *przywileje* im daje (str. 12); Mieszek II *umarł po grecku*, za życia ojca „dosyć był walecznym“, lecz „sąsiedzi widząc jego *nieudolność*“, postanowili z niej skorzystać“ (str. 14).

„Jarosław odzyskał Kijów“ (str. 14), — czy nie od Polski? Bolesław Śmiały odmówił Izasławowi pomocy „przeciw Wsławowi“, powtórnie biorącemu Kijów“ (str. 17), a po zamordowaniu biskupa Stanisława „złaził się sam siebie“ (str. 18). Siewiech był wojewodą *krakowskim* (str. 19); Władysław II „jako książę krakowski odziedziczył tytuł *królewski*“ (str. 22); Śląsk *odpadł* od Polski, przechodząc w ręce synów Władysławowych“ (str. 24); Mieszek Stary „podszedł zbrojnie pod Kraków, ale pobity pod Mozgawą“ (str. 27), przyrzekł Helenie „połączyć Wielkopolskę z *Koroną*“ i t. p.

Krzyżacy wraz z kawalerami mieczowymi „widząc smutny stan Polski do opustoszonej wsi i miast“ sprowadzali „mnóstwo Niemców, którzy rządząc się prawem magdeburskiem... kazili nasz język“ (str. 32). Łokietek i Kazimierz W-ki zwołują *sejmy* (str. 40 i 41); „możnowładztwo wzrastać u nas zaczęło od zjazdu koszyckiego, na którym Ludwik stronnikiem swoim nadał liczne przywileje“ (str. 49); aktem unii horodelskiej „prawa obu narodów zrównano“ (str. 51) i t. p. i t. p.

Dla przedstawienia błędów choćby ważniejszych trzeba by grubą napisać książkę. Autor (pewnie autorka) widocznie nigdy się historii nie uczył i uważnie elementarnego podręcznika (np. p. Lei) nie czytał. Nie zna faktów, nie rozumie najprostszych rzeczy i o nauczaniu wyobrażenia nie ma żadnego. Złych podręczników historycznych mamy moc wielką, lecz książeczka p. Sokoła nieudolnością przewyższa wszystkie. Niech też w spokoju na półkach księgarskich butwieje.

Wł. Smoleński.

**Wieczory florenckie (Causeries florentines)** Juliana Klaczki, tłumaczył z upoważnienia autora *St. Tarnowski*. Warszawa nakładem L. Polaka 1881 r.

Studia nad pomnikami literatury powszechnej są u nas taką rzadkością, że prawdziwie pożądaniem zjawiskiem nazwać wypada przekład świetnej pracy o wielkim twórcy *Boskiej komedii*, napisanej po francusku przez polaka a należący tonem i treścią do tych dobytów umysłowych, które przechodzą na własność powszechnej cywilizacji. Nasza wiedza o Dancie, tak skąpa a uboga, w tej pracy zyskuje znakomite pomnożenie, z którego ważnością nie mogą się porównać dotychczasowe artykuły i studia dorywcze, pomieszczone po czasopiśmie a będące przeróbką tylko albo streszczeniem prac Ozanama i innych pisarzy. Książka p. Klaczki należy jednak nie tylko u nas do najoryginalniejszych zjawisk krytyki literackiej, wniesionej na filozoficzną wyżynę. Nie jest to długi, rozwlekły, nalaodowany ciężką erudycją, komentarz, nie jest to dzieło analityczne, zbudowane podług ścisłej metody lub systematu, ale dialog artystyczno-filozoficzny, w którym autor wzorem starożytnych pisarzy wprowadza kilka osób, zestawiając różnorodne opinie, aby wyłożyć z tem większą jasnością swoje poglądy na najgłówniejsze zagadnienia poezji dantejskiej. Forma dialogu jako wykładu naukowego, będąca wytworem ducha dyalektyki greckiej, podniesiona do takiego mistrzostwa przez Platona, w literaturze rzymskiej uprawiana z zamiłowaniem przez Cyncerona, dla dzisiejszego wykładu naukowego niezupełnie jest odpowiednią; ale do takiego filozoficznego

szkieletu, w którym piękność formy gra tak ważną rolę, okazała się bardzo podatną. Co prawda podobieństwo dialogu p. Klaczki z dialogiem starożytnym, jest tylko zewnętrzne. Gdy bowiem u Platona a nawet u Cyncerona tok dialogu opierał się na ciągłym dyalektycznym sporze, w którym zwyciężała osoba wypowiadająca przekonania autora, w *Wieczorach florenckich* dyalektyka bardzo małą gra rolę i dotyczy się kwestyi drugorzędnych a cały bieg myśli jest wykładowy, konferencyjny, prowadzony w taki sposób, że w rozmowie zabierają z kolei głos osoby, mające w danej kwestyi więcej do powiedzenia i snują szeroko wątek myśli, przerywany tylko objaśnieniami, pytaniami, albo zgrabnymi zwrotami. Taka forma odejmuje książce sztywność szkolnego wykładu, nadając jej istotnie wdzięk prawdziwej *Causerie*, łączącej powagę, głębokość myśli z lekkością i elegancją.

Punktem wyjścia dla całego studium jest rzucona przez jedną z osób należących do dialogu kwestya wyjaśnienia tego, co ona zowie *tragedią Dantego*, co tłumacząc na język bardziej ścisły jest poprostu kwestyą stanowiska poety w stosunku do współczesności, wytłomaczeniem przyczyn jego, wielkich boleści, rozterki z rzeczywistością, w imię wyższych ideałów. Zanim autor przystępuje do ostatecznej odpowiedzi na to pytanie w pierwszej części swej pracy, noszącej tytuł „Dante i Michał Anioł“, zestawia oba te kolosalne genjusze, pokrewne olbrzymim polotem fantazyi i wielkością podejmowanych przedmiotów tworzenia.

Głównym celem tej pierwszej części jest wykazanie zasadniczej różnicy pomiędzy potężnym samowładczym genuszem Michała Anioła, „który był bez poprzedników i następców“ i z własnej energii duchowej chciał wyprowadzić cały świat potężny, a genuszem Danta, niezrywającym z tradycją wieków średnich, ale biorącym ją za podstawę swej twórczości. Tragedya Michała Anioła polega na potężnym pasowaniu się jego geniuszu z przyrodniczymi granicami możliwości w sztuce, gdy tymczasem Dante w poezji nie czuł mocy takich szranek niezłomnych. Twórczość Michała Anioła wyraziła się w mnóstwie potężnych, ale oderwanych lub odłamanych fragmentów, gdy tymczasem twórczość Danta objawiła się w całości skończonej i harmonijnej pomimo swego ogromu, wcielającej wszystkie jego pomysły, cały systemat wreszcie przekonań i idei. Przeciwnieństwo geniuszów wypowiedziane świetnie, z jasnością i siłą argumentacji ogromną; chociaż zbyt przesadnie zdaje nam się autor akcentować rozterkę indywidualności twórcy Mojżesza z otoczeniem, chce przyznać mu sprzeczne z nowszymi pojęciami filozoficznymi stanowisko zupełnej niezależności w stosunku do epoki, chociaż same rysy charakterystyki podane w książce wykazują właśnie wspólność samodzielną, nieuznającą żadnych powag fantazyi mistrza z owym potężnym duchem protestu, jaki przenikał ówczesny cały świat ucywilizowany, odślaniają łączność jego potęgi z ową pełnią i nadmiarem sił kipiących w życiu umysłowym i fizycznym ówczesnych społeczeństw. W drugiej części książki p. Klaczko, torując sobie śmiało drogę pomiędzy całą rzeszą komentatorów, prostuje fałszywe zapatrywanie na poezję miłości w Dancie, oraz znaczenie symboliczne postaci boskiej Bertrice, uważanej za upostaciowanie teologii. Po świetnym poglądzie na charakter miłości w poezji włoskiej, po doskonałej charakterystyce zasadniczych cech erotyzmu Petrarke, krytyk wykazuje odrębność pojmowania miłości od czasów Szekspira, wspólność pierwszych płodów lirycznych Dantego z dawniejszymi poezjami miłosnymi, oddziela je od późniejszego pojmowania miłości jako wyższej siły idealnej, jako po-



tegi, ogarniającej świat i podnoszącej człowieka do wyżyn niebiańskich. Poddawszy trafnej krytyce *Vita nuova* Dantego, będącą późniejszym komentarzem do utworów napisanych w młodości, krytyk wyświeśla, że poeta dopiero potem sztucznie starał się nadać symboliczne znaczenie, o którym pierwotnie nie myślał, a następnie dowodzi, że Beatrice w poemacie uosabia nie teologię, ale właśnie ową najwyższą uduchowioną siłę miłości, będącą składową częścią i nowszej poetycznej dogmatyki. W trzeciej części książki (*Dante i Katolicyzm*) autor trafnie zbija poglądy niektórych krytyków, utrzymujących, że poeta od wiary pierwotnej, prostej przeszedł w okres zwątpienia do wiary w uczucie skruchy i pokuty a szeregiem nadto przekonywujących argumentów dowodzi, że Dante chociaż przeciwnik supremacji kościoła w sprawach świeckich, zachowuje w kwestiach dogmatycznych najściślejszą prawowierność.

Największe ma znaczenie czwarta i ostatnia część książki (*Tragedye Dantego*), w której p. Klaczko ukazuje postać poety na szerokim i świetnym tle jego epoki i zmienia zupełnie zasadniczy pogląd na ideę samego poematu, na jego wytyczne cele, objaśnia całą syntezę zapatrywań Danta na potrzeby i dążenia ludzkości. Opisawszy jego życie, jego stosunek do różnych prądów swego czasu, wykazuje, że *Boska Komedia* nie jest bynajmniej epepeją, nie jest odbiciem poetycznym swego epoki, nie jest *Iliadą* wieków średnich, ale *teogonią* katolicyzmu, poematem tendencyjnym, mającym za zadanie przekształcenie żyjących pokoleń w duchu wyznawanego przez poetę ideału, to jest powrotu do jednego państwa Chrystusowego, do monarchii uniwersalnej, reprezentowanej przez cesarstwo. Rozbierając traktat Danta *O monarchii*, p. Klaczko charakteryzuje cały fanatyzm polityczny Gobellina, który staje się obrońcą idei upadającej w rzeczywistości. Tragedya więc Dantego polega na tem, że był świadomym rzeczniikiem sprawy upadłej a mimowolnym pracownikiem nowej epoki, dającą wbrew ideom kosmopolitycznym początek poezji narodowej, głosząc niezależność władzy świeckiej i dając popęd do duchowego połączenia świata chrześcijańskiego z pogańskim, będący żywotnym prądem epoki odrodzenia. W ogólnym wyniku całego rozumowania ukazuje nam krytyk Dantego jako konserwatystę z zasad a nowatora w skutek geniuszu, przyspieszającego przejście stanu rzeczy, któremu chciał zapobiedz, jako utopistę przeszłości, należącego do tych, „którzy mieszcząc pod sobą swój ideał, chcieliby wskrzesić wieki upłynione.“

Streszczając główne punkty tej pracy, dajemy słabe tylko pojęcie o bogactwie treści, oryginalnych poglądów, które ją wypełniają od pierwszej do ostatniej karty. Można spierać się z autorem o niektóre szczegółowe sądy i opinie, ale przyznać należy, że całość rzuca jasne, oślepiające światło na wielką postać florenckiego wieszczę, odsłania wiele zagadek jego poezji, ukazuje odległe widoki na cały obszar rozwoju poezji, na całe zwroty zasadnicze pochodzą cywilizacji i wzrostu fantazyi. Zupełna niepodległość w stosunku do wszystkich poprzednich badaczy, których autor często trafnie zbija i analizuje, bystrość krytyki, opartej na szerokiej dziejowej podstawie, oryginalność jej wyników, sprawiają, że książka ta w rozwoju badań nad Dantem jest najnowszym wyrazem i wzbogaceniem krytycznej myśli. Pomimo kilku reakcyj trących poglądów epilogu i dość niejasnego panegiriku na część utopij, całość napisana jest z krytycyzmem, któremu ze względu na naturę przedmiotu nie szkoda, bynajmniej pewne wyraźne objawy sympatii dla powrotnych dążeń. W porównaniu z pracami niemieckich kalibrowych krytyków i estetyków, studium to

pomimo głębi swej treści imponuje przekonywającą jasnością argumentów, powabem i swobodą wykładu, wielkim artyzmem formy. W rozwoju krytyki literackiej zaliczyć je można do plodów klasycznych a przyswojone naszej literaturze w doskonałym przekładzie należy do książek, których znajomość przynosi niewątpliwą korzyść każdemu umysłowi, czującemu wartość wielkich arcydzieł poezji

J. Kotarbiński.

## PIŚMIENNICTWO WŁOSKIE.

(FILOZOFIA).

**Elementi di psicologia** (Zasady psychologii) G. Sergi. Messyna, str. 620 i 3 tablice.

W książce tej niema wcale mowy o istnieniu duszy; jest ona oparta wyłącznie na metodzie doświadczalnej, wykluczającej wszelkie kwestye metafizyczne. Wszędzie znajdujemy w niej fakty i prawa pozytywne, często niewyjaśnione jeszcze w zupełności, ale dające się zawsze sprawdzić i powtórzyć.

„Psychologia, mówi autor, zajmuje się zjawiskami organicznymi, których główną cechą jest świadomość funkcyj, powstających w ognisku nerwowym, i objawami, wynikającymi bezpośrednio ze zjawisk świadomości.“ To ostatnie zdanie zakreśla dosyć szeroką granicę badaniu organów zmysłowych i ośrodków nerwowych, którymi się Sergi zajmuje szczegółowo w ciągu całego swojego działania. Zjawiska fizjologiczne wspierają tu na każdym kroku i kontrolują psychologiczne.

Zjawiska te dzieli autor na trzy grupy, odpowiednio do tego, co dawniej nazywano władzami: myśli, uczucia i woli.

Objawy myśli porządkuje w dwa szeregi: 1) fakty odnoszące się do poznania i 2) do świadomości. Żaden fakt nie jest psychicznym, nie będąc do pewnego stopnia świadomym; wchodząc w sferę świadomości, staje się psychologicznym.

W badaniu mechanizmu poznania autor poświęca pierwszą księgę uczuciu i spostrzeganiu, nie widząc pomiędzy nimi stanowczej różnicy. Dla niego odbieranie wrażeń jest już poniekąd spostrzegawczem, mianowicie jest odróżnianiem przedmiotów i odnoszeniem ich do pewnej rzeczy zewnętrznej, stwierdzaniem jej związku z pewną grupą wrażeń pokrewnych. *Intensywność* jest własnością uczucia jako siły, własnością, objawiającą się w potęgze i wartości uczucia. Z intensywnością łączy się *jakość* uczucia, przez którą nadaje się formę psychiczną wrażeniom przychodzącym z zewnątrz, a która wypływa zarazem z budowy organów zmysłowych i ze sposobu, w jaki siła zewnętrzna działa na te organy. Pomijając trzecią właściwość uczucia, która jest wrażeniem, oznaczającym czy rezultat jego jest korzystny lub szkodliwy dla indywiduum czującego, autor rozbiera różne wrażenia zmysłowe, odpowiednio do organów, za pośrednictwem których powstają, jako to: słuchu, wzroku, dotyku, smaku, węchu i czułości mięśni.

Rozdział następny traktuje o kwestiach ogólnych pojmowania. Dotykając stosunku naszych wrażeń zmysłowych do świata zewnętrznego, autor wysnuwa własną teoryę, którą rozwija potem szerzej w księdze drugiej, gdy mówiąc o poznaniu rozumem, bada szczegółowiej idee przestrzeni i czasu. Jest to teorya *fali refleksu spostrzegawczego*.

Przetwórcę materiału zmysłowego przez ośrodki nerwowe stanowi przedmiot księgi drugiej. Znajdujemy tutaj anatomie owych ośrodków, oraz streszczenie wszystkiego, co wiadomo o ich działaniu na podstawie najznakomitszych prac Luysa, Lussana, Carpentera, Schiffa, Wundta i Ferriera.

Następnie autor przystępuje do ważnej sprawy tworzenia się i organizacji pojęć. Od każdego wrażenia zmysłowego odrrywamy małą liczbę cech wspólnych wszystkim indywiduom a cechy te oznaczone pewną nazwą lub znakiem tworzą pojęcie. Uogólniać zatem jest to dokonywać pewnego rodzaju analizy. Rezultat w ten sposób otrzymany nie jest już podobny do przedmiotu pojedynczego, jest on wytworem czynności umysłowej, dokonywanej jedynie na materiale dostarczonem przez zmysły, który przetwarza i podnosi do wyżyn abstrakcyi. Analiza na tem się nie zatrzymuje, prowadzi się dalej na pojęciach; ona to czyni je powszechnymi.

Rozum dla p. Sergi nie jest przeto żadną magiczną siłą, któraby nas wprowadzała do świata nadzmysłowego, jakimś *Sezamem* metafizyki. Jest on tylko najwyższym stadiem myśli. Rozmawianie na podstawie podobieństw i różnic tworzy dwa rodzaje stosunków: jedne podobne, istniejące niezmiennie w danych przedmiotach, stanowią *typ*; drugie następujące po sobie łączą, ruchy pojedyncze z ich źródłem zasadniczym i stanowią *prawo*. Wszędzie te jednak stosunki odnoszą się zawsze do pewnej przestrzeni i pewnego czasu, albowiem nie mogą być pomyślane w jakiejś próżni pustej i są zawsze stosunkami *przedmiotów* realnych, takich, jakich dostarczyły wrażenia pierwotne. Rozdział ten kończy się najgłębszemi zagadnieniami umysłu ludzkiego, wartości nauki, sceptycyzmu i rozmaitych stopni rozwoju ducha ludzkości, wreszcie analizą pojęć przestrzeni i czasu. S. rozpatruje zjawiska zachowania i odtwarzania pojęć, ich kojarzenia i pamięci.

Dalej zajmuje się zjawiskami uczuciowymi człowieka, bada naturę przyjemności i bólu, rozbiera główne teorye odnosne, porównywa uczucia ze względu na ich siłę i trwałość, wreszcie przedstawia rozwój uczuć w dziejach ludzkości. Cały osobny rozdział poświęcony jest uczuciom estetycznym, przyczynom podobania się i niepodobania estetycznego we wszystkich grupach wrażeń zmysłowych.

Nakoniec po uczuciach następuje wola. Spotykamy tu najprzód głębokie studium nad warunkami fizjologicznymi woli, źródłami jej organicznymi. Autor daje tu na podstawie najnowszych badań objaśnienia o włóknach ruchowych, mięśniach, ich ruchach i odruchach. Wreszcie przechodzi do badania „początku i podstaw chcenia“, rozbiera warunki jego bezpośrednie i kończy krytykę woli oderwanej. Według niego wola jest odpowiedzialna, albowiem jest określona myślą.

Taka jest treść tej bogatej w szczegóły książki. Jak widzimy, włosi bardzo poważnie uprawiają niwę filozofii w najnowszym jej kierunku—o czem my, niestety, bardzo mało wiemy.

**Lo studio della storia della filosofia.** R. Ardigò. Padwa. 1881, str. 48.

Jest to odczyt, wypowiedziany przez autora przy rozpoczęciu jego kursu tegorocznego, a wywieszający po raz pierwszy we włoskim wychowaniu publicznym chorągiew filozofii pozytywnej. Dane, jakie przedstawia świadomość rzeczywista ludzkości, są trojakiiego rodzaju: 1) prawa psychiczne oderwane, będące jakby wiecznym rytmem życia umysłowego, niezależnym zupełnie od działania czasu; 2) wspomnienia czyli przyrost zdobyty przez świadomość, odkąd ta poznała siebie i swoje dzieje; 3) dane przedhistoryczne, osiągnięte przed wszelką świadomością i pamięcią, stanowiące nieodróżnialne tło myśli.

Zostawiając na uboczu oderwane warunki powszechne działalności umysłowej, Ardigò przedstawia rozwój myśli w jej głównych zarysach. Zaznacza najprzód, że nauka nie jest stanem różnym od wiedzy zwanej powszednią, że jest ona tylko jej



dalszym ciągiem, że przeto początku jej szukać należy w pierwszym okresie formacji umysłowej. W samem kielkowaniu zdolności logicznych. Nauka nie jest niczem innym, jak tylko umysłem ludzkim z jego strony logicznej a jej formacja, która odbywa się bardzo powolnie, obejmuje tak olbrzymie okresy, że filozofia Thalesa uważana być może już jako wielki rezultat długiej pracy, ostatnie zaś wywody nauki dzisiejszej są tylko zapowiedzią dalszego rozwoju niezmiernie bogatego, o czem mamy zaledwie przybliżone wyobrażenie. W rozwoju tym niema nie koniecznego, określony on został swoich formach ogólnych i szczegółowych przez okoliczności, i gdyby te okoliczności były odmienne, i on byłby innym.

Filozofia jest tylko częścią owego rozwoju, tak jak dzieje ssących są tylko częścią historii naturalnej. Wprawdzie stanowi ona jego gałąź najwyższą, skupia w sobie wszystkie niższe fazy życia umysłowego. Jest to wierchołek, do którego osiągnięcia nie są powołane ani wszystkie rasy, ani wszystkie osobniki ludów ucywilizowanych; każdy jednak umysł, który go osiąga, musi przejść stadya przygotowania i przedstawia żywy zwrot wszystkich przejawów najdalszych i najrozmaitszych działalności umysłowej.

Stąd wypływa ważność dziejów filozofii: 1) Dla nauki w ogóle; bo jeżeli wzajemna zależność wszystkich części wiedzy ludzkiej jest taka, że żadna z nich nie może uleść zmianie, nie oddziaławszy na inne, tem bardziej filozofia, zajmująca środek tego organizmu, musi przekształcać się z wiekami w miarę zmian w naukach ją otaczających i nadawać im nawzajem, lecz znacznie spotęgowany popęd, jaki od nich otrzymać. Nie trzeba zapominać, że to, co ulega zmianie, nie jest treścią umysłu nieruchomą, lecz umysłem samym, narzędziem świadomości, tak że każdy wielki ruch wiedzy ogólnej, każdy postęp nauki centralnej dodaje coś do potęgi umysłu ludzkiego: filozofowie genialni są w wielkiej pracowni nauki niejako robotnikami wynajmującymi maszyny i tworzącymi narzędzia. 2) Dla filozofii samej: poglądy dzisiejsze wypływają nieprzerwanym ciągiem z dawniejszych; są one tymiż samymi poglądami, podniesionymi na wyższy stopień rozwoju; kreśląc tedy dzieje filozofii, odtwarzamy tylko świadomość idei organizmów i zasadniczych nauki.

Rozwój filozofii jednak nie odbywa się wcale przypadkowo, nie jest on „igraszką natury.“ W rozwoju form umysłowych, zarówno jak organizmów żyjących, natura jest zawsze poważna; prawa zaś myśli łatwiej się odsłaniają w systematach pierwotnych, aniżeli współczesnych, podobnie jak prawa życia w organizmach doświadczalnych, mimo całej ich dziwaczności.

Kończąc, Ardigio przedstawia na przykładzie szczegółowym, na dziejach myśli, proces koncentrowania stopniowego, jaki przedstawia formacja pojęć filozoficznych, i wykazuje, że bez znajomości tego procesu żadna poważna teoria myśli nie jest możliwą.

Cz.

## KORESPONDENCA PRAWDY.

Z PETERSBURGA.

Od lat już kilkudziesięciu literatura rosyjska przestała być niewolnicą tylko lub ślepą naśladowczynią obcych wzorów i wpływów, kolejno po sobie następujących, jak: bizantyjskiego, polskiego, niemieckiego, francuskiego i innych. Jej przedstawiciele w ojczyźnie własnej znaleźli obfite źródło natchnienia, zgłębili wszystkie taj-

niki życia rodzimego, odczuli wszystkie jego bóle i potrzeby, a ideały społeczeństwa przybrały kształt prawdziwy i często uroczy w utworach Puszkina, Gogola, Turgeniewa, Niekrasowa, hr. L. Tolstoj i innych. Nie zawsze wprawdzie życie narodowe, niezależnie nawet od talentu autora, mogło się odbić w dziełach literackich całą pełnią, gdyż dotąd zbyt często pisarz musi starannie omijać bardzo ważne sprawy, zapuszczać się tylko w krainę wyobraźni lub abstrakcji, szukając tam pociechy, musi też uczyć się jeszcze szczególnego „ezopowego“ sposobu pisania. Od pewnego czasu jednak zamilkły potężne talenty. Żyjący a nawet nie bardzo jeszcze sędziwi pisarze wolą milczeć, aniżeli przemawiać do pokoleń, któreby ich nie zrozumiały i zrozumieć nie chciały. Życie w Rosji opływa dziwnie jakoś szybko, starsze pokolenia tak mało mają wspólnego z młodszymi, że ludzie, rozdzieleni pomiędzy sobą tylko dziesięcioma laty, już się często nie pojmują. Nie o wszystkich zresztą da się to powiedzieć; najświetniejszym zaś wyjątkiem jest bez wątpienia znakomity satyryk rosyjski, jednakowo ubóstwiany przez starych i młodych. To też rzeczywiście on jeden może umie pochwycić całą duszą rozmaite tętna swego społeczeństwa, wszystkie drgnienia tego organizmu w walce z żywiołami różnorodnymi, jego dobre i złe siły, jego prawdy i nieprawdy. Najmłodniejsze, przed chwilą dopiero powstałe kierunki, prądy i uczucia społeczne są mu odrazu znane i odczute głęboko, brzmiały w jego uszach nieraz tonem podniesionym do najwyższego prawie tragiczmu, torturując niemal tych, na głowy których są skierowane, to znów spadając potokiem błota, potokiem słów grubych i cynicznych, ale zda się jedynych dla oddania miotających go uczuć i treści, dla odbicia tej złości tysiącznej i pogardy, która się zmieścić nie może w jego duszy a napęnia też dusze znacznej części słuchaczy. Szczególniej teraz rozechwytywane są jego artykuły, wychodzące pod tytułem: „Za rubieżem“ (za granicą). W nich daje się czuć najsilniej cała groza chwili obecnej, chwili, w której się zbiegło na raz tyle nieszczęść, odezwało się tyle głosów „pluskiewników literackich“ — jak on się wyraża, obudziło się tyle najniższych instynktów. To też jemu nawet brakuje nieraz słów, zwykły język nie starczy. Czasem więc już nie mówi, ale tylko wydaje dźwięk, wzbudzający w czytelniku fizyczne wrażenie. Czytelnik zaś rozumie autora doskonale, jak rozumie koledzy wykrzyknik pułkownika de Cambronne pod Waterloo...

W zeszycie majowym *Otieczestwiennych Zapisków*, kreśląc stan wewnętrzny rosyjczyka za granicą, uciekającego od samotności to jest od natrętnych myśli, niedających mu nigdy spokoju, szukającego zapomnienia w błogosławionem morzu drobnotek, w byle jakim towarzystwie, przytacza między innymi sen bohatera, pod tytułem „Dyalog świni z prawdą.“ Tytuł ten zrozumiałym jest dla rosyjskiego czytelnika, mającego na myśli przysłowie: „Bóg nie dopuści — świni nie zje.“ Słyszając rozmowę tej ostatniej z wystraszoną, bladą ledwie okrytą łachmanami „prawdą“, widząc owo gryzienie towarzyszące jej rozmowie, a również zachowanie się otaczającej chlew publiczności, trzeba zwątpić o pocieszającym znaczeniu przysłowia. To też autor budząc się krzyczy: „zje, zje!“ Tak zje, i za to, że biedna prawda ośmieliła się twierdzić, iż jest słońce na niebie, chociaż go nie widać z chlewu, i że jest inna prawda, oprócz... W ostatnim artykule (*Otiecz. Zapiski* czerw.) autor powiada: „W rezultacie ostatecznym zamieszania życiowe czasów ostatnich zdemoralizowały już nas do takiego stopnia, że każdy w czynach swoich i rozmowaniach kieruje się li tylko myślą o „skórce.“ Strach o nią, o dzień

jutrzejszy — oto jest teza podstawowa, na której się opiera współczesny rosyjanin; ale oczekiwanie nieokreślone ciągle grożącego niebezpieczeństwa pozbawia go nie tylko pragnienia jakiegobądź działalności, ale nawet chęci do życia...

„Instynkt skórny grozi unicestwieniem, jeżeli dotąd już nie unicestwił wszelkich instynktów życia... Posłuchajcie, jakie trele brzmią w rozmaitych „pluskiewnikach literackich“, „myśleć już nawet nie wolno... czy naprawdę pozostaniemy nadal z tymi ideałami godnymi chlewu? Ależ to swego rodzaju „kramola“, jest to „kramola“ przeciwko obrazowi człowieka — podobieństwu bożemu, przeciwko wszystkiemu, czem się żyje i co najstraszniejsze; „kramola to nie podziemna, lecz otwarcie, głośno rozpoczyna.“

Przeciętnej jednostce społeczeństwa, odczuwającej na sobie okoliczności obecne, radzą dla uspokojenia cierpień dwa niepodobne do siebie środki: „Pocieszaj się historią i żyj jedną myślą z ludem... Tak, istotnie, kiedy życie rzuca nam kamień zamiast chleba, mimowoli potrzeba szukać pociechy w historii... ale człowiek przeciętny odpowiada: „co do mnie, czuję zawsze jedno tylko, to, że historia odziera mię ze skóry.“

„Co zaś do zjednoczenia się z ludem, to kwestya ta bodaj czy nie okrutniejsza jeszcze od sprawy pociech historycznych... Macie na celu świat błądzący w ciemności wczuć ku światłu, uzdrowić masy cierpiące i gniewione, lecz bywają takie chwile historyczne, kiedy ten świat i te masy pełne są ponurej nieufności, kiedy one same trwają w swym dziwnym uporze, pozostając w ciemności i chorobach. Stoją tak uparcie przy swoim nie dla tego, aby nie rozumiały światła i uzdrowienia, lecz dla tego, że nie wierzą w samo źródło tych darów. W takich chwilach można zbliżyć się do tego tarzającego się w ciemności świata nie inaczej, jak tylko po zanurzeniu się poprzednio w taką samą noc i zaraziwszy się trądem, który mu grozi zniszczeniem.“

I ten drugi środek niewiele więc ma powabu dla współczesnego rosyjanina. Są jednak ludzie myślący inaczej, niewidzący trądu i z głęboką wiarą niosący w tej nocy swoją pochodnię. Łatwo się o tem przekonać, nie wychodząc z granic tych samych zeszytów dziennika, o których mówiliśmy i zajrzawszy do artykułów na pół belletrystycznych, na pół publicystycznych p. Złotowratskiego, noszących tytuł „Zarysy nastroju wiejskiego“ (*Oczerki Derewenskaho nastrojenija*). Pan Złotowratskij jest właściwie powieściopisarzem, ale uważając, że talent jego nie podałby się zadaniu odtworzenia obrazowej zmiany idealów ludowych i życia, woli mniej artystyczną formę studyów i artykułów dziennikarskich. Znając przeszłość włosciana (wielkoruskiego) pańszczyźnianego, p. Z. stara się zgłębić typy nowe, dzisiejsze, wywierające taki stanowczy wpływ na byt ludu, na ustrój rodzinny i gminny.

Znaczenie reformy włosciańskiej było z pewnością wielkie, w ciągu ostatnich lat kilkunastu lud przeżył więcej, aniżeli w ciągu kilkuset poprzednich; to też proces psychiczny, odbywający się obecnie w tem „laboratorium“ ogromnem, zasługuje rzeczywiście na najgłębszą uwagę. Reforma włosciańska stworzyła odrazu kilkadziesiąt milionów „obywateli“, kilkadziesiąt milionów wolnych jednostek, osobistości dotąd nie istniejących wcale, gdyż przynębionych potrójnym despotyzmem: pana, patriarchy rodzinnego i gminy — włosciańsko-fiskalnej. Reforma urzędowa uwolniła ich tylko z pod pierwszego z tych trzech ucisków; dwa zaś ostatnie pozostawały nieknięte. Przewidzieć jednak było łatwo, że nowonarodzony osobnik walczy; poczuwszy rozwiązane ręce, nie znieśli pętów ciążących jeszcze na nim, zechce je zerwać. Tak też stało się rzeczywiście, a chociaż



proces ten trwa jeszcze dotychczas, z pewnością jednak powaga „starszych“ i gminy (miru) nie ostanie się w warunkach dzisiejszych.

Powaga „starszych“, jak widać ze szkiców p. Z. była narażoną na pierwsze ciosy. Wśród „młodych“ wszędzie daje się widzieć chęć gospodarowania osobnego, osobnej chaty, rozdzielenia całego majątku. Na próżno „ojcowie“ starają się utrzymać przy dawnym prawie; groza ich włosów siwych i związków rodowych coraz bardziej pada pod napływem żywiołów nowych, często nawet samolubnych i odpychających, a natomiast zjawia się nowy majestat „rozsądnego człowieka“ — „umstwiennaho mużika“, — najczęściej przebywającego przez czas pewien po za granicami rodzinnej wioski, dla którego rzeczywistość niema zwykle nic świętego, prócz własnej osobistości i wygody. Te rodzinne starcia odpychające i krwawe nieraz przybierają barwy, ale w każdym razie są tylko logicznym następstwem stosunków uprzednich. Zdaniem p. Z. pierwszy ten akt procesu uwolnienia się jednostki z pod despotyzmu obyczajowego dziś już jest prawie skończony; drugi zato akt — wyjarzmienie się z pod nacisku gminy — nie dobiegł jeszcze do końca. Pomimo to, iż autor jest w ogólności zwolennikiem tej prastarej instytucji i widzi w niej ważną rękojmię społeczną, czuje jednak potrzebę gruntownej reformy w jej ustroju i odrzucenia tych cech kancelaryjnych, które zrobiły z niej narzędzie fisku, dla tem łatwiejszego wybierania podatków, nie ułatwiający przytem wcale ciężaru życia jej członkom. Ustrój gminy dzisiejszej, składającej się z żywiołów niezmiernie różnolitych pod względem psychicznym i ekonomicznym, nie może dłużej się utrzymać; dawniejsza zgoda tradycyjna i powszechne uszanowanie dla gromady — „miru“ oddawna już stało się mitem tylko, a nowi ludzie „rozsądni“ dbają o siebie tylko, nie troszcząc się wcale o różnolitą gromadę. Sama zasada jednak gminna, współkowa, trwa zawsze w umyśle włościanina, przybiera wszakże nowe formy. Coraz to jaśniej spozstrzegamy pewne grupowanie się żywiołów gminnych, wydzielenie się i łączenie pokrewnych jednostek. Zamożniejsi, wyzyskiwacze, noszący miano „kulaków“, stanowią zwykle partję jedną, działającą wspólnymi siłami, mają interesy wspólne. To samo da się powiedzieć o ludziach średniej zamożności i biednych. Strona psychiczna wielką też tu gra rolę i teraz już można wyróżnić w gminie trzy główne typy: — dobrodusznego, wiarołomnego, buntowniczego i pijanego proletaryusza, nieznającego żadnych przepisów; rozsądnego, gospodarczego chłopca średniej zamożności i surowego, trzeźwego, wytrwałego i podstępного wyzyskiwacza — kulaka. Te trzy typy działają w gminie każdy w swoim zakresie i przygotowują grunt dla nowej reformy administracyjnej, która ma się skutecznie pod postacią zbliżoną do gminy w Królestwie Polskim.

Artykuły Szczedryna i Złotowratskiego, a także p. Gleba Uspienskiego, zawierające w sobie także studia nad ludem, stanowią główną ozdobę *Otieczestwiennych Zapiskow* w ciągu ubiegłych miesięcy. Wogóle zaś lato daje się już spostrzegać na stronnicach czasopism, koloryt ich coraz to bliździe, jesienią dopiero zaczyna się ukazywać ciekawsze rzeczy. Krytyka rosyjska jednogłośnie podnosi przełożone utwory młodszych beletrystów polskich, p. Orzeszkowej, Sienkiewicza i Wł. Okońskiego, ciesząc się z odkrycia tej świeżej a prawdziwie obfitej i zdrowej Ameryki, jak się wyraził jeden z krytyków petersburskich.

Zapowiedziany dziennik, wydawany przez p. W. Korsza pod tytułem *Zagraniczny Wiestnik*, zamierza wprowadzić u siebie

obszerny i stały dział polski — przeglądów literacko-naukowych i przekładów.

R.

## DZIAŁANIE ŚWIATŁA ELEKTRYCZNEGO NA ROŚLINNOŚĆ.

W obecnej chwili najważniejszym może zadaniem dla przyrodników jest znalezienie sztucznego sposobu robienia tych wszystkich ciał, naśladowania tych wszystkich zjawisk, które przyroda w swej wielkiej pracowni, zwanem „światem“, z tak wielką łatwością wykonywa.

Chodzi tu o dokładne poznanie i sztuczne potem odtworzenie warunków, których dostarcza sama natura.

Do niedawnego czasu sądzono, że wszystkie ciała pochodzenia organicznego, powstające w istotach żyjących, są zupełnie niemożliwe do sztucznego odtworzenia. Dziś panuje zupełnie inne przekonanie. Dość przytoczyć słowa jednego z najznakomitszych pracowników chemii organicznej, Berthelota, którego uważać można słusznie za twórcę syntezy chemicznej. Powiada on, że „możemy obecnie dążyć do odtworzenia wszystkich ciał, które się ukazywały od początku rzeczy, do utworzenia ich w tych samych warunkach i na mocy tych samych praw oraz tych samych sił, które przyroda do ich wytworzenia używała.“

Jest to jedna z najważniejszych zdobyczy naszego wieku.

W całym życiu na kuli ziemskiej najpierwszą rolę odgrywa słońce, gwiazda dzienna, przyspieszająca zamianę materji, bez której nie byłoby istot żyjących.

Najwidoczniejszą jest rola, jaką słońce odgrywa przy rozwoju roślin. „Rośliny są to istoty utkane z powietrza przez słońce“, jak się poetycznie wyraża Moleschott. Bez udziału jego jasnych promieni nie powstałby barwnik, dający kolor liściom roślin, a zwany chlorofilem. A bez tego chlorofilu niema naturalnego rozwoju; on to bowiem przy pomocy słońca osadza w tkance roślinnej węgiel, z kwasu węglowego, unoszącego się w powietrzu. Jest to fakt stwierdzony nadzwyczaj licznymi doświadczeniami.

Jednakże w jaki sposób to się dzieje, jak następują zmiany drobinowe, tego nie zdano jeszcze dokładnie poznać; jest to zadanie przyszłości.

Słońce więc jest warunkiem naturalnym i koniecznym. Lecz jeśli tyle rzeczy naturalnych zdołano zastąpić drogą sztuczną, czyż nie można by znaleźć sposobu na zastąpienie słońca? Próbowano to uczynić rozmaitemi drogami. Pierwszym był Hervé-Mangon, który używał światła elektrycznego i wykazał, że przy jego promieniach wytwarza się chlorofil, skrobia i celuloza w roślinach, podobnie jak przy działaniu promieni słonecznych. Skonstatował on wydzielanie się tlenu z roślin wystawionych na oświetlenie elektryczne, co było oczywiście dowodem rozkładu kwasu węglowego.

Od tego czasu powtarzano liczne próby, a najważniejszą z nich jest ta, którą w większych rozmiarach przeprowadził Siemens, znany angielski uczony, i z której niedawno zdał sprawę w londyńskiej Royal Society.

Miejscem prób było Sherwood, gdzie użyto do badania wpływu światła elektrycznego na rośliny, cieplarni melonowej. Posadzono tam rośliny, odznaczające się szybkim rozrostem, jak: gorczycę, marchew, fasolę, ogórki.

Lampa elektryczna umieszczona była u góry, nad szkłem cieplarni. Siła jej światła wyrównywała 1.400 świecom. Do wytworzenia takiego ogniska użyto maszyny dynamoelektrycznej Siemens, potrzebującej na wytworzenie odpowiedniego prądu siłę 3-ch koni parowych.

Żeby można było z prób wyciągnąć stanowcze i rozstrzygające wnioski, podzielono rośliny poddane badaniu na cztery grupy.

1) Rośliny, które przez cały czas doświadczeń mają pozostać w ciemności;

2) które będą wystawione jedynie tylko na działanie światła elektrycznego;

3) na które mają działać tylko promienie słoneczne;

4) na które dniem padać będą promienie słońca, a nocą — lampy elektrycznej.

Pierwsze próby zrobione były w takich warunkach, że regulator elektryczny świecił codziennie po 6 godzin, od 5-tej do 11-ej po południu.

Rezultat był następujący

Pierwsza grupa roślin, hodowanych w ciemności, prędko zamierała, wydając drobne, delikatne, blade żółte łodyżki. Rośliny, na które padało tylko światło elektryczne, należące do grupy drugiej, okazały bardzo dobre przystosowanie się do światła elektrycznego, gdyż były zdrowe, jędrne i miały dość ciemną barwę zieloną. W każdym jednak razie lepiej wyglądały rośliny, które tylko samo słońce oświetlało, były bowiem jeszcze silniejsze i jędrniejsze.

Lecz ze wszystkich najpiękniej się rozwinęły te, które w rozwoju swoim nie miały spoczynku ani dniem ani nocą, bo słońce dzienne zostało wieczorem zastąpione elektrycznem. Otrzymano wtedy rośliny krzepkie, mocno zielone, zupełnie zdrowe i najblizsze ze wszystkich zupełnego swego rozwoju.

Jest w tem jasny dowód, jak działanie promieni światła elektrycznego może skutecznie wspierać pracę, rozpoczętą za dnia przez słońce.

Później robiono doświadczenia jeszcze w szerszym zakresie i utrzymywano światło elektryczne przez 11 godzin nocy, dochodząc do zupełnie podobnych rezultatów, tylko w rozmiarach daleko wyraźniej rzecz całą przedstawiających.

Z prób tych wynika, że spokój nocny nie jest wcale potrzebnym dla roślin i że bez niego mogą się one obejść, nie cierpiąc wcale na zdrowym rozwoju.

Rzecz to zresztą dowiedziona, gdy chodzi o światło słoneczne.

Dr. Schübeler z Chrystyanii wykazał, że ciągłe działanie słońca nie szkodzi roślinom, ale owszem przyczynia się do wytworzenia piękniejszych i barwniejszych kwiatów, bardziej aromatycznych i soczystych owoców. Przyroda sama, na dalekiej północy, daje przykład takiego ciągłego działania słońca. Latem dzień się tam prawie nie kończy; to też rośliny rozwijają się, rosną, kwitną a owoce dojrzewają z nadzwyczajną szybkością. Zdawałoby się, że świat roślinny spieszy do swego kresu, mając tylko bardzo krótkie lato do rozporządzenia.

Dr. Siemens, na posiedzeniu Royal Society, okazywał doświadczenia, jak silny jest wpływ elektryczności na rozwój kwiatów, umieściwszy pączek tulipanu i róży, w pobliżu silnego ogniska elektrycznego. Dla spowodowania rozkwitu światło elektryczne jest bardzo skuteczne. Po niedługim czasie kielichy w oczach widzów zupełnie się rozwinęły. Ścisłej rzeczy biorąc, nie były to pączki, lecz właściwie zamknięte kwiaty, które tylko potrzebowały się otworzyć. A wiadomo, z jak wielką łatwością to następuje. Nie potrzeba do tego nawet światła elektrycznego. Samo ciepło wystarcza.

Nie możemy teraz jeszcze przesądzać o praktycznej doniosłości doświadczeń Siemens. Może jego sposób przyspieszenia rozwoju roślin da się zastosować na większą skalę w cieplarniach, inspektach i t.p. Czy takie „elektryczne“ ogrodnictwo opłaci się, o tem przyszłość rozstrzygnie.

B. O.



## MASZYNA DO STENOGRAFIOWANIA.

Głównem dążeniem wynalazców, pracujących w dziedzinie mechaniki, jest znalezienie sposobów zastąpienia pracy ręcznej, zmuszającej i wymagającej wielkiej wprawy, pracą maszyn, któreby to samo wykonywały szybciej i dokładniej. Pojawilo się w naszym wieku, szczególnie w ostatnich lat dziesiątkach, mnóstwo tego rodzaju przyrządów, z których największego może rozpowszechnienia doczekały się maszyny do szycia.

Gdzie idzie o szybkość pracy, tam ręka ludzka nigdy z maszyną nie może stanąć do współzawodnictwa.

A gdzie szybkość potrzebniejsza, niż przy stenografii, przy notowaniu dokładnem wszystkich słów, wybiegających nieraz rwącym potokiem z ust zapalonego mówcy?

Radzono sobie dotąd upraszczaniem znaków używanych do pisma, tworzeniem liter łączących się dogodnie, co stanowi istotę stenografii; lecz nie zapomniano także o zastosowaniu środków mechanicznych, któreby mogły pracę rąk skutecznie wspierać i przyspieszać.

O jednym z przyrządów służących ku temu celowi, z którym odbywano niedawno w Paryżu próby, podamy niektóre szczegóły, przyjrawszy się poprzednio tej sprawie ze stanowiska bardziej ogólnego.

Jaki przyrząd byłby do stenografowania najodpowiedniejszym? Oczywiście taki, który bez niczyjego pośrednictwa, sam zdolny byłby notować słowa mówcy, utrwalając wyraźnie dźwięki, wychodzące podczas mówienia z ust jego.

Przyrząd podobny posiadamy od lat kilku, chociaż nie można go polecić jako praktyczny i odpowiedni.

Fonograf Edisona jest właściwie taką maszyną do stenografowania i gdyby potrafiono go ulepszyć, stałby się najdoskonalszym ku temu celowi przyrządem.

Na arkuszu cynfolii, albowiem blachy miedzianej, notuje on wszystkie drgania ludzkiej mowy, a potem można wszystkie zanotowane dźwięki napowrót wywołać. Jest to jeden z najcudowniejszych i najgenialniejszych przyrządów, uderzających przede wszystkim zadziwiającą prostotą.

A jednak do stenografowania nie nadaje się wcale. Żeby słowa były dobrze zapisane, trzeba mówić głośno, przytykając prawie usta do otworu fonografu. Tego w parlamentach nie można wymagać. A w dodatku powtarzanie głosu nie odbywa się dokładnie. Jedne sylaby wychodzą dobrze, inne niewyraźnie, niektórych liter, jak np. s, f, nie słychać prawie wcale.

Fonograf nie ma jeszcze dotąd żadnego praktycznego zastosowania, mimo że się tak świetnie zapowiadał i takie w nim pokładano nadzieje. Od czterech lat, jak został wynaleziony, nie zrobiono żadnych stanowiących ulepszeń, mimo że poświęcano się pracy nad nim we wszystkich stronach świata. Jest on niezwykle pouczającym i zajmującym przyrządem w gabinetach fizycznych i niczem więcej.

Rzecz dziwna, że przyrząd, wynaleziony i zbudowany przez Edisona w kilku dniach, tak niespodziewany co do swego pomysłu, odkrywający zupełnie nowe pole badań, tak wydający się łatwym do ulepszeń na pierwszy rzut oka, nie postąpił ani o krok naprzód.

Nie należy jednak przesadzać przyszości, i bez wątpienia, gdyby można było zrobić fonograf czulszym na działanie dźwięków, wyraźniejszym w ich powtarzaniu, stanowiłby on idealną maszynę do stenografowania, zapisującą nie tylko same słowa, ale przechowującą nawet głos osoby mówiącej. Więcej już nie można byłoby niczego wymagać, jak tylko chyba, żeby

przechowywał i powtarzał na zawołanie gesty i wyraz twarzy mówcy!

Tymczasem zadawać się musimy przyrządami mniej doskonałej budowy. Jeszcze na wystawie powszechnej w r. 1878 debutowała maszyna stenograficzna włoskiego wynalazcy An. Michelego, którą niejednokrotnie widzieliśmy działającą wobec publiczności pod działaniem palców córki wynalazcy.

Od tego czasu maszyna Michelego robiła postępy w praktyce i dziś już senat włoski używa jej wyłącznie w celu stenografowania rozpraw parlamentarnych, a przed kilku tygodniami robiono z nią próbę przed komisją paryskiej izby deputowanych.

Maszyna ta nie działa automatycznie, lecz do używania jej potrzebnym jest współudział rąk wprawnych, grających na klawiaturze, złożonej z dwudziestu klawiszy.

Charakterystyczną cechą aparatu Michelego jest to, że nie zapisuje on ani liter, ani sylab we właściwym znaczeniu tego słowa, lecz jedynie tylko dźwięki fonetyczne, jakie przy mówieniu dochodzą do ucha osoby grającej na klawiszach. Każdy taki dźwięk potrzebuje uderzenia na raz kilku klawiszy, z których każdy niesie na koniec osoby znaczek, odbijający się za pomocą ciśnieciem na pasku papierowym, który się automatycznie z wałka rozwija. Stenograf grający na przyrządzie tego rodzaju uważa na dźwięki mowy i rozkładając je na składniki fonetyczne, co po pewnej wprawie z nader wielką szybkością następuje, uderza palcami odpowiednie klawisze. Gra właściwie ciągle akordami.

Maszyna Michelego ma wielką zaletę, że jest ogólną, to jest, że się zastosowywać daje do wszystkich języków. Nie notuje ona bowiem wcale ortograficznego rozkładu spółgłosek i samogłosek w sylabach, ale tylko same dźwięki zasadnicze, które się wszędzie powtarzają. Kto się na przyrządzie Michelego nauczył stenografować jakkolwiek inną mowę, ten już potem może notować każdą inną, zupełnie nawet dlań niezrozumiałą. Odbywa się to oczywiście kosztem dokładności, gdyż daleko trudniej jest pochwycić dźwięki mowy, której wcale nie znamy.

Ilość słów, które oratorowie wypowiadają w ciągu jednej minuty, gdy są w toku mówienia, waha się między osmdziesięcioma a stu osmdziesięcioma. Za pomocą przyrządu Michelego dobrze wyuczony manipulator może zanotować słów dwieście, a więc aż nad potrzebę użytku parlamentarnego.

Nadto aparat taki mechaniczny daje się łatwo zastosować do przenoszenia depesz stenografowanych na znaczne odległości; trzeba tylko użyć do pomocy prądu elektrycznego i drutów. Klawiatura może się znajdować w sali rozpraw, a przyrząd odbijający znaki w drukarni jakiegokolwiek oddalonego dziennika, w pobliżu zecera, umiejącego odczytywać te znaki, więc będącego w stanie składać do druku mowę natychmiast po jej wypowiedzeniu, a nawet częściowo w czasie jej trwania.

W każdym jednak razie przyrząd Michelego nie jest ostatnim wyrazem maszyn do stenografowania i wynalazcy mają jeszcze obszerne pole do robienia ulepszeń.

B. A.

## TEATR.

*Pani Podkomorzyna*, komedia w 4-ach aktach Kazimierza Zalewskiego, przedstawiona po raz pierwszy w Teatrze Letnim. — *Błędne ogniki*, obraz ludowy w 4-ach aktach p. Staszczka, przedstawiony w teatrze Alhambra przez Towarzystwo p. Puchniewskiego. *Efemerydy*.

Jest to rzeczą bardzo naturalną, że u nas szczególnem powodzeniem cieszą się utwory, uwydatniające cechy swojskie. W sztuce i literaturze treść ogólnie ludzka ustę-

pować musi często na drugi plan, wobec zamilowania do przedmiotów narodowych, które odpowiada skierowaniu życia społecznego, podsyconego instynktem zachowawczym. Ten charakter gustu powszechnego zapewnił wartość bieżącą i powodzenie nowej komedii p. Kazimierza Zalewskiego *Pani Podkomorzyna*, w której na tle epoki stanisławowskiej autor przedstawia dzieje miłosne dwóch serc, rozłączonych przez wypadki a połączonych potem przez szczęście. Nie będziemy bliżej charakteryzowali treści sztuki, gdyż nie zawiera ona w sobie szerszej doniosłości, ogólnie społecznej lub dziejowej, ani tendencyjnego znaczenia. Autorowi nie chodziło bynajmniej o stworzenie jakiegoś obrazu, uwydatniającegogo przeciwieństwa dziejowe, przejętego myślą społeczną czy historyczną, a więc z tego punktu sędzić jego sztukę byłoby to narzucać obce jej intencje. *Pani Podkomorzyna* jest tedy poprostu zręcznym i efektownie dramatyzowaną nowellą, w której widzimy, jak młoda, uboga szlachcianka, ulegając wpływowi rodziny, idzie za bogatego starca Podkomorzego i wyrzeka się miłości dla biednego krewniaka, jak następnie po kilku latach zostawszy wdową, wierna pierwotnemu uczuciu, rozrywa sprytną intrygę zamierzone małżeństwo dawnego wielbiciela a nareszcie ratuje ukochanego, który z rozpaczyny zapisał się jako rekrut do pruskiego wojska.

Taki jest szkielet pomysłu komedii, który pozwolił autorowi przenieść widownię sztuki ze szlacheckiego dworu do salonów warszawskich a następnie nad granicę pruską do Drahimia, gdzie toczy się bójka o wyzwolenie bohatera. To przenoszenie pola działania daje autorowi sposobność rozwinięcia wcale malowniczej panoramy scenistotunków, oraz osiągnięcia ponętnych dla widza efektów scenicznych, jak polonez i uroczystość weselna, a zwłaszcza kończąca sztukę utarczka z pruskimi werbownikami. Pan Zalewski, jako pisarz sceniczny, posiada sekret trafiania do gustu publiczności naszej i zręczność wyzyskania swych pomysłów. W ostatniej komedii nagroził on niezbyt bogatą, chociaż zgrabnie pomyslaną treść bajki efektownym traktowaniem pierwszego i ostatniego aktu, a zwłaszcza epilogiem, w którym ukazał rejteradę pruskich napastników. Pomysł tu oparty na wrażeniu zewnętrznym, działającym dowodnie na nerwy, ale pod względem scenicznym bardzo zręczny i wyzyskany z wprawą biegłego technika. W budowie *całości* autor okazał się mniej pomyslowym, aniżeli w innych swych utworach; chwilami prowadzi wątek sztuki zbyt leniwo, skupiając efekt i ruch w pewnych jej momentach. Rzecz jasna, że wartość podobnego utworu polega głównie na zaletach roboty scenicznej i literackiej. Jako dramatyzowana nowella, utwór p. Z. posiada dobrą charakterystykę kilku głównych postaci, trzymaną w tonie zwykłej realnej wyrazistości, ma pewne rysy obyczajowe epoki, której szerszego widnokręgu autor nie myślał wcale odbijać, a nareszcie pod względem językowym cechuje go pewien koloryt charakterystyczny polski dobrze utrzymany. W szczegółach dadzą się wytknąć pewne przewlekłości, brak postaci nieoddychających wyższym stopniem humoru albo dosadniejszym skupieniem charakterystyki typowej. Od początku do końca trzymał się w lekkim tonie komedii, potracając czasem tylko o żywe struny liryki. Poparta świetną wystawą i bardzo dobrą grą komedya p. Zalewskiego zyskała powodzenie. W roli tytułowej panna Wisnowska, chociaż nie miała dość artyzmu, aby opanować wszystkie jej trudności i odcienia, jednakże grała miejscami inteligentnie i zręcznie. Krewką postaci głównego bohatera dobrze a częściowo świetnie uwydatnił p. Tatarkiewicz. Komiczno poważnym kasztelanem był p. Ostrowski a p. Rapacki jako rezydent



Wizgunt stworzył jedną z najlepszych swych charakterystycznych kreacji, postać żywą, skończoną i opracowaną nader misternie.

Niezależnie od różnicy tematu i sfery działania, tym samym przyczynom winna powodzenie swoje sztuka ludowa p. Staszczuka *Błędne ogniki*, słabsza jednak pod względem scenicznym i artystycznym. Tego rodzaju utwory poruszają struny sympatyczne serc słuchaczy i podobają się także dzięki odrębnościom etnograficznym, w sposób malowniczo odzwierciedlonym. Wobec wzrastającego w kołach inteligencji naszej zajęcia się kwestyami dobrobytu i oświaty naszego ludu, nie dziwnego, że sztuki tego rodzaju budzą żywy oddźwięk w słuchaczach, tembardziej, że nowsi autorowie wyszli z zaczarowanego koła dawnej rutyny, malują szerzej i swobodniej stosunki wiejskie, które w skutek ostatnich przewrotów społecznych stały się bogatsze i rozmaitsze. Zwłaszcza stosunki galicyjskie, nadające się do pełnej i bardziej wielostronnej charakterystyki, stanowią bogate źródło dla sztuk ludowych, zwłaszcza że obyczajowa strona życia wiejskiego dostarcza wiele malowniczego żywiołu do zewnętrznych efektów scenicznych. Utwór p. Staszczuka ma tę wadę, że nie przynosi nam nic nowego w porównaniu z już istniejącymi. Te same lub podobne motywy akcyi, te same postacie, większy niż w innych sztukach nawał tańców i pieśń, ten sam spłot melodramatyczności z komizmem, ta sama robota realna, obrachowana na dosadne efekty, to samo wreszcie co i w *Nocy Świętojańskiej* nadużywanie sprężyn pobożnych, modlitewnych, i rozwiązywanie sztuki za pomocą nagłego nawracania się grzeszników.

Ten ostatni motyw p. Staszczuk dwukrotnie powtarza wbrew psychicznej logice, ukazując na duszy bohatera wpływ poczucia religijnego. Gdyby tak łatwo odgłos dzwonka i widok krzyża działał na zbrodniarzy i łotrów, jak się to dzieje w sztukach p. Staszczuka, to oddawna wioski nasze przybrałyby postać arkadyjską, karzmy przeszłyby do mitologii a więzienia stałyby pustkami. W sztukach ludowych bezwątpienia poczucie religijne ukazywać się powinno wybitnie, jako jedno z ważnych składowych części moralnego rdzenia ludu, będącego na niższym poziomie umysłowego rozwoju; ale w utworach p. Staszczuka i jego kolegów występuje ono nadto ostentacyjnie, teatralnie, nie jest prostą i szczerą wiarą, raczej aparatem, służącym do wywołania efektu. Obok tego autor okazał w tym utworze wielką znajomość życia ludowego, a chociaż wprowadził figury nie nowe, jednakże kilka scen (aktu 2 i 4) nakreślił żywo i świeżo a w szczególności wykazał chwilami szczęśliwą obserwację. Sztuka wogóle zbudowana nieskładnie, opracowana bez zręczności i artyzmu, zdradza w piszącym wielkie braki literackiego wyrobienia przy widocznym talencie intuicji, które odpowiednio skierowany móglby stworzyć rzeczy lebszej artystycznej wartości. Na scenie dzięki kilku ustępom jaskrawym zewnętrznym, sztuka miała powodzenie i zapewne utrzyma się dłużej w repertuarze letnich teatrzyków, tembardziej, że grano ją wogóle z werwą i starannością a tańczono zamaszyście. Z pomiędzy artystów na wyróżnienie zasługują panie Szymborska, Siedlecka; panowie Siedlecki, Józefowicz i Szymborski.

W ostatnich czasach pojawiło się w letnich teatrzykach kilka efemeryd okolicznościowych, jak: *Pan Marcin na wystawie koni*, *W wagonie 1-szej klasy*, które zaledwie godne są wzmianki, należąc całkowicie do sfery tuzinkowej humorystyki. Wyrodziła się tylko wśród nich farsa St. Dobrzańskiego, *Złoty cielec*, pełna humoru i pomysłowości facecyja sceniczna, obfitująca w komiczne niespodzianki i koncepty zdol-

ne rozśmieszyć najbardziej zapamiętałego hypokondryka. Artysci Alhambry grali ją żwawo i ruchliwie.

S. K.

## LIBERUM VETO.

Czy p. Lucylla spi czy udaje. — Opozycja pp. Sulimierskiego i Wolberga. — Jedna prawda w dwu odmiennych postaciach. — Niecierpliwość p. Wolberga i świadectwo Mucyusza Scewoli. — Sprzecznosci. — W czym kwestya, — Dr. Gepner. — Wnioski. — Potrzeba *Przyrody i Przemysłu*. — Spostrzeżenie pewnego młodzieńca. Gawrony i trznadłe. — Kwesta dla biednego nauczyciela. — Bułanki. — Lombardy prywatne. — Hojność p. Landau. — Cesya na korzyść Szmerka. — Zakończenie sprawy międzynarodowej. — Nadzieja co do nowego kodeksu.

Ostrzegam czytelnika, że upadek *Przyrody i Przemysłu* wcale nie dowodzi, ażebyśmy nie posiadali obfitej gromady naturalistów i publiczności chętnej ich słuchać. Dowodem wielce w prasie ożywione spory o to: czy p. Donato jest kuglarzem czy hypnotyzerm, czy p. Lucylla spi, czy udaje. Po uniesieniach na cześć tej „cudownej“ pary nastąpiły gwałtowne rozczarowania, którym przewodniczą pp. Sulimierski i Wolberg. Ponieważ pierwszy wyznał, że się na hypnotyzmie nie zna i tylko sztuki p. Lucylli sądzi chłopskim rozumem, więc jego listy publicznie pomijamy, tembardziej, że jedynej w nich „niezawodnej, doświadczaniem stwierdzonej prawdzie przyrodniczej“ — według której „zarówno psychiczne jak fizyczne organa człowieka *oswajają się* z czasem z każdym wpływem i zwolna mu *ulegają* przestają“ — solidarny w opozycji p. Wolberg przeciwstawia inną prawdę, odkrytą przez Heidenheina, według której „wrażliwość osobnika w miarę przyzwyczajania się (do hypnotyzacji) *wzrasta*“. Co do jego wywodów, najbardziej je charakteryzuje i określa na stępujący wykrzyk po przedstawieniu p. Donato w Towarzystwie Lekarskiem: „wyszedłem *zupełnie* zawiedziony, tembardziej, że ze strony *naukowej* nie uczyniono na owem posiedzeniu *nic* takiego, co by mogło dokładnie zbadać istotę rzeczy.“ Więć chociaż w Tow. Lekarskiem, gdzie jedynie można było sprawdzić naukowo stan p. Lucylli, nie osiągnięto żadnego przekonującego dowodu a p. Wolberg tylko tam ją „badał“, wyszedł jednak „zupełnie zawiedziony“ a nawet wywnioskował stanowczo, że p. Donato z panną Lucyllą oszukują publiczność. Pospieszność tego wnioskuowania jest równie może zdumiewająca, jak cuda p. Donato. Rozumiem ludzi, którzy otworzywszy naiwnie usta podziwiają kuglarstwo i wierzą mu, lub takim, którzy nie umiając go przeniknąć, kręcą jednak sceptycznie głowami — jeżeli ci ludzie robią to dla własnego użytku. Ale daleko trudniej mi pojąć uczonych lub tak zwanych specjalistów, którzy wydają wyroki uznania lub potępienia w ostatecznej instancyi na podstawie wczoraj przeczytanej broszury, popartej kilkoma doraźnymi spostrzeżeniami. Sprawdzenie takiego zjawiska, jak sen hipnotyczny, jest niemożliwym bez dokonania ścisłych prób doświadczalnych. Czuli to dobrze p. Wolberg, skarzając się na Tow. Lekarskie, ale nie czuli potrzeby zawieszenia swego sądu do chwili zyskania dowodów i poprzestał — mówiąc językiem prawnym — na samych poszlakach. To też cała jego filipika, w której biedny, prawdopodobnie nigdy nieistniejący Mucyusz Scevola musiał świadczyć przeciwko p. Donato, jest może pożytecznym dla łatwowierności ostrzeżeniem, ale na szali naukowej nie zaważyła nawet ciężarem włosa. Jej autor w polemicznym zapale nie tylko źle przedstawił jedyne doświadczenie naukowe, o którym wspomnę

niżej, ale nawet wpadł w zabójcze dla swego wystąpienia sprzeczności. Bo naprzód jeżeli p. Donato jest tylko kuglarzem, omamniającym publiczność dla wyludzenia pieniędzy, po co Tow. Lekarskie ma badać p. Lucyllę? Czy ono jest od tego, ażeby demaskować wydrwigroszów? Powtóre, jeżeli p. Lucylla udaje, czy sama jej zdolność takiego udawania nie stanowi bardzo ciekawego przedmiotu dla nauki? Cokolwiek by p. Wolberg powiedział o mniemanej katalipsy p. Lucylli, przyznać musi, że sam sztucznie w stan taki siebie by nie wprowadził. Widzieliśmy zeszytowanie tej dziewczyny; bez względu na to, czy ono było naturalnem, czy udaniem, było rzeczywistym i tak zupełnym, że żaden z widzów czegoś podobnego by nie dokonał. Wiadomo, że rozmaitego rodzaju fanatycy ciąglem udawaniem wytwarzają w swym organizmie szczególne stany, które dla badacza przedstawiają szereg bardzo ciekawych i pouczających zjawisk. Gdyby Preyerowi lub Heidenheinowi przedstawiono najobłudniejszego derwisza, niezawodnie zajęliby się nim uważnie, chociażby nawet byli przekonani, że się odurza sztucznie. Kwestya więc przedstawień p. Donato polegała nie tylko w pytaniu: czy p. Lucylla udaje, czy nie udaje, ale także w tem: jeśli udaje, jakim sposobem wywołuje w sobie pozory hypnotyzmu, czem one właściwie są? Ani Tow. Lekarskie, które widocznie rozstrzygać tylko wyższe zagadnienia, ani p. Wolberg, który przy węzłach gordyjskich jest zwolennikiem metody Aleksandra W-o, nie zwrócili na to uwagi i przesadzili rzecz najzupełniej im nieznaną. Zamiast badania doświadczalnego poprzestali na obserwacji powierzchownej, która dostarczyła im kilku trafnych spostrzeżeń, ale nie rozwiązała zagadki zasadniczo. Znalazł się w liczczym gronie przeróżnych znawców i specjalistów jeden tylko człowiek, który przystąpił do rzeczy naukowo i zdobył fakt zastanawiający. Tym unikatem był dr. Gepner, który rzuciwszy odpowiednim przyrzędem światło w żreńce p. Lucylli, przekonał się, że one nie oddziaływały, t. j. nie uległy, jak powinny, silnemu skurczowi. Nie twierdzą, ażeby to był dowód decydujący, ale był zdobyty naukowo, i gdyby podobnych zyskano więcej, wiedzielibyśmy niezawodnie, czy p. Donato rzeczywiście hypnotyzuje p. Lucyllę, czy też nie.

Zwiążmy nasze rozumowanie we wnioski:

1) z mnóstwa znawców i specjalistów nikt nie próbował zbadać p. Lucylli naukowo prócz d-ra Gepnera.

2) czy p. Donato hypnotyzuje, czy wraz ze swą towarzyszką tumani publiczność, nie wiemy, pomimo wszystkich listów publicznych p. Wolberga.

I mnie bierze chęć wyznać, że przedstawienia w Ratuszu są podejrzone, proszę jednak czytelnika, ażeby wyznaniu temu nie wierzył, dopóki ono nie zostanie poparte ścisłym doświadczeniem, na które, do licha, ktoś w Warszawie powinien się zdobyć. Tymczasem w całej tej sprawie wydaje mi się prawdą niezbłą, że świeżo zmarły tygodnik *Przyroda i Przemysł* trochę był nam potrzebnym. Jeżeli zaś nie zmartwychwstanie, będziemy mieli niedługo tylu „specjalistów“, że każdy przechoďtej ujrawszy na niebie ukazującą się co kilkaset lat kometa, powie z dumą: to moja stara znajoma. Niema świata naukowego, któremu by tak trudno było, jak naszemu, przyznać się do niewiedomości, jednej z najsłabszych cnót ludzkich. Znam pewnego młodzieńca, który niedawno od reporteryi zaawansował do sprawozdań z dzieł przyrodniczych i filologicznych, trawionego żądzą zabrania głosu w sprawie Lucylli i Donata. Musiałem użyć wszelkich sił, ażeby go odwieść od tego niebezpiecznego zamiaru, którego spełnienie zbogaciłoby nowym przyczynkiem literaturę ratuszowych przedstawień. Młodzieniec ów



całą teorię swęj niewiary opiera na tem spostrzeżeniu, że p. Lucylla w czasie snu podrapała sobie koniec nosa, co, według niego, jest daleko ważniejszem, niż np. zbadanie w niej prądów elektrycznych. Dzięki podobnym spostrzeżeniom, p. Donato wyjeżdżając z Warszawy, powie o nas:

albo: gawrony! (jeśli jest hypnotyzerem)  
albo: trznadłe! (jeśli jest kuglarzem).

Całe szczęście, że pozostawi nam na pokonanie go odpowiedzi p. Wolbergowi, w których kumając się z Harveyami i Herszlami jest dostatecznie i bez naszej pomocy śmiesznym.

Pisma nasze wywiesiły znowu na publiczny widok nędzę jednego z nauczycieli gimnazjum lubelskiego, który żyje z 14 rs. miesięcznie emerytury. W tej odezwie do miłosierdzia ogółu przykresadwie strony: ubóstwo starca, który zużył siły na służbie społecznej i publiczne obnażenie niedoli. Niepodobna uwierzyć, ażeby zebrana tym sposobem jałmużna nie zgębiła obdarowanego. Radzilibyśmy więc, ażeby tego rodzaju kwesty odbywały się nieco ostrożniej, z większym poszanowaniem godności wspieranych. Co do samego faktu, ujawnienie go przypadło akurat w tę porę, kiedy nasi litościwi panowie ofiarowali wdzięcznej cyrkówce pięknego bułanka wraz z obfitym dla niego dodatkiem na owies. Kto wie, czy między tymi ofiarami nie znajdowali się uczniowie biednego nauczyciela, którzy niedopuszczeni przez niego do drugiej klasy, opuścili gimnazjum dla dobra kraju i przewodniczenia narodowi, bardzo słusznie robią, że zapominają o surowych nauczycielach a pamiętają o łaskawych cyrkówkach.

Na wypadek gdyby tym dobroczyńcom cyrkowego zawodu zbrakło pieniędzy do dalszej wspaniałomyślności, donoszę im, że Najwyżej zatwierdzona uchwała Rady Państwa dozwoliła zakładać w Królestwie Polskiem lombardy prywatne. Czy jako fanty będą przyjmowane bułanki, nie wiem; wiem tylko, iż bogata liberya włączona zostanie do zastawów pożyczkowych. Wraz z panami cieszyć się mogą i biedacy, którzy dziś w 40 stają do podzielenia się *jedną kopiejką*, stanowiącą czasem cały zapasowy kapitał obecnego lombardu. Mało nas to obchodzi, czy „góry pobożności,” które niezawodnie na wzór zagranicy powstaną dość licznie, przytulą do swego łona brylantowe spinki i kaszmirowe fraki; głównie pragniemy, ażeby chustka wyrobnicy lub zbyteczna kapota rzemieślnika wyjednały niezbyt uciążliwą pomoc ich posiadaczom. Strzeżmy tylko, my, którzy tak starannie meldujemy światu o komedjach, posiadających już napisane tytuły, lub tryumfach teatrzyków, ażeby w tych lombardach prywatnych nie wyrosły pomału pijawki lichwiarskie, któreby na podobieństwo dzisiejszych fanciarzów ssaly krew ubogą.

Zachodzi kwestya, czy też jaki lombard udzieliłby najskromniejszą pożyczkę na zastaw ogłoszenia p. W. Landau, który zapewnił 10,000 rs. nagrody temu, co wykryje skradzione i odnalezione pieniądze? Warto by się o tem przekonać wobec hojnego datku, jakim ów bankier obdarzył trzech niewinnie w tym wypadku pokrzywdzonych, z których jeden przesiedział kilka miesięcy w kryminale, dawszy im aż 1,350 rs. Komu ta ofiara wydałaby się za małą, niech pamięta, że na korzyść Szmerka i wspólnie z nim obdarowanych p. L. ustąpił całą sumę nieodzyskaną a roztrwonioną przez złodziejów. Jest więc nadzieja, że gdy ci ostatni wrócą z ciężkich robót i dojdą do majątku, Szmerk może wyprosić od nich jeszcze z tysiąc rubli. Umiemy być hojni — co?

Międzynarodowy spór między polakami i belgijczykami, których kuryery obatożyły pod imieniem niemców, został wreszcie sędownie załatwiony. Przed kilku miesia-

cami wynikła bójka na Pradze, w której robotnicy belgijscy napadli na polskich i zabili dorożkarza Augusta Hahna. Sąd skazał sprawcę tej śmierci na 3 miesiące więzienia i zapłacenie 1,000 rs., które biedna kobiecina odbierze prawdopodobnie wtedy, gdy Szmerk swój proces wygra. Pod sądni zaapelowali, wątpimy jednak, czy Izba Sądowa okaże się łaskawszą dla męstwa p. Branle'a i zalet użytej przez niego broni belgijskiej. A cóżbyś powiedział czytelniku, gdybyś przejeżdżając przez Bruksellę wyczytał w tamtejszych dziennikach taki anons: *Józef Branle*, poleca szan. publiczności wyborne rewolwery; jedynym z nich zabity został odrazu dorożkarz w Warszawie. „Ponieważ zaś w dzisiejszym numerze jest mowa o reformie kodeksu karnego, dopełniam więc ów artykuł nadzieją, że może nowe prawo surowiej sądzić będzie zabójców, niż bluźnierców...”

*Posel Prawdy.*

## W PERSPEKTYWIE.

Przyjemną niespodziankę sprawiła nam *Gazeta Lubelska*. Nie przywykliśmy spotykać w organach prowincjonalnych rzeczy miejscowych, wyróżniających się wartością treści i sumiennem opracowaniem. Nie jest to wina redakcyj, skazanych na zbyt trudne warunki bytu, niemniej przeto istnieje fakt. Niespodzianką więc — powtarzamy — stał się szereg artykułów z Janowskiego, drukowanych w *Gazecie Lubelskiej* p. t. „Potrzeby ekonomiczne miejscowe” a wnikających w sam rdzeń danych stosunków. Skorzystamy też chętnie z materiału zebranego przez autora w odniesieniu do gminnych kas pożyczkowych, który stanowi z wielu względów pouczającą ilustrację stanu kredytu ludowego. „W roku 1868 zatwierdzoną została ustawa dla kas pożyczkowych i oszczędności w gminach miejskich. Ustawa ta w r. 1870 była dopełnioną i dotąd jest obowiązującą — zawsze jednak jako tymczasowa, gdyż ułożenie ustawy normalnej odłożone zostało do czasu, gdy będzie możność wszechstronnego ocenienia rezultatów działalności tych kas. Obecnie po upływie lat 12-tu rezultaty te już są widoczne. Kasy gminne pożyczkowe, wprowadzone od 1869 roku z godną uznania gorliwością, znajdują się już prawie przy każdej gminie, czyli jest ich w kraju 1,200. W dniu 1 (13) stycznia 1880 roku wiadomy kapitał obrotowy w jednej gubernii lubelskiej 137-iu kas rs. 312,616 kazałby przypuszczać wysokość jego w całym kraju około trzech milionów rubli. Obrót ten powstał ze skromnych subwencji rs. 62,640 w r. 1869, oraz rs. 103,920 w r. 1870 przez Komitet Urządzający od funduszków użyteczności ogólnej udzielonych, dowodzi więc wielkiej użyteczności instytucji kas gminnych, lecz weale nie dowodzi, żeby miał być wystarczającym dla potrzeb ludności wiejskiej. Ze sprawozdania np. o kasach gminnych janowskiego powiatu okazujemy, że w dniu 1 stycznia r. b. stan gotowizny w 13 kasach wynosił rs. 1,919, co na jedną daje w przecięciu 140 i jeszcze na to przecięcie wpływa kasa Urzędów, która sama jedna miała remanentu rubli 971, gdy z drugiej strony była kasa, mająca gotowizną rs. 3, a nawet taka, która gotowizny tylko rs. 1 kop. 79 naliczyła. a na ten remanent i przyszłe wpływy jest w każdej kasie zapisanych kilkunastu, lub kilkudziesięciu potrzebujących, którzy kilka miesięcy zwykle cierpliwymi być muszą: zawsze więc większość potrzeb pożyczek zaspakajana bywa na drodze lichwy.”

Przyczyny tych niedostatków słusznie upatruje autor artykułu w jednostronności kas gminnych dzisiejszych. Są one tylko

kasami pożyczki, dla których fundusz zależny jest od przypadku, a zaniedbują zupełnie drugą stronę swego naturalnego zadania, t. j. nie przyjmują wkładek oszczędności, co powinno być koniecznem uzupełnieniem programu. Oszczędności posiadają drobni robotnicy w znacznej liczbie i utrzymują je w skrzyni; kapitały zaś większych rachunków składane są poważnemi sumami na 2% (lubelska filia Banku Polskiego posiada takich wkładów przeszło 200,000 rs). Chodziłoby więc o to, aby do kas gminnych pożyczkowych skierować zarówno drobne oszczędności, jak większe sumy, lokowane obecnie gdzieindziej, a tym sposobem stworzyć tymże kasom siły do pokrycia potrzeb miejscowego kredytu. Ze się tak nie dzieje, autor widzi przyczynę tego w ułomności kwalifikacyjnej zarządów kas i samych kasyerów, którzy często pisać nie umieją, a przeto radzi wybierać do tych funkcji ludzi wykształceńszych i merytalnie odpowiedzialnych. Zupełna zgoda. Jednakże to nie wyczerpuje przyczyn ułomnego stanu. Sam autor zauważa bardzo trafnie, że: „oszczędności znaczniejszych rolników dlatego do kas miejscowych nie nawracają, że oni od operacji pożyczek są prawie wyłączeni przez oznaczone ustawą maximum ziemi i pożyczek. Maximum to już w poprawce ustawy w r. 1876 było powiększone. Gdyby więc, w tym samym duchu idąc, było ono jeszcze powiększone lub całkiem uznaniu zarządu pozostawione, jak to ma miejsce przy wysokości przyjmowanych wkładów; gdyby tym sposobem kasy były dla wszelkich majątków i dla wszelkich stanów, tak jak dla wszystkich jest jedna gmina i jeden jej zarząd; gdyby dalej ustawa kwalifikacyjna na kasyera i członków zarządu w tym duchu stanowiła, aby nimi mogli być tylko ludzie odpowiedzialni i na zaufanie ze wszech miar zasługujący; gdyby wreszcie skromne kasy gminne przemianowane były na banki wiejskie, jak to było pierwotną myślą Komitetu Urządzającego w roku 1866, to by wtedy kasy te, zostając pod kierunkiem i solidarną odpowiedzialnością ludzi znanych większym bankom jako dobre firmy, mogły sobie wyrobić tyle zaufania, że banki bogate przysłałyby wiejskim swą zbywającą nieraz w znacznych sumach gotowiznę, znajdując w nich pewność i nie niekosztujące filii i agentury. Wtedy także i prywatne oszczędności z zaufaniem zwróciłyby się do depozytów banków wiejskich, które płacą 6%, gdy tamte tylko 2%, — wtedy by więc w tych bankach wiejskich zapanowała obfitość gotowizny, któraby potrzeby rolników zaspokoić mogła i wyrwała ich z rąk lichwy, która dotąd szczególnie dla drobnych jest niszczącą plagą.”

Piękne to są... pragnienia. Ponieważ jednak urzeczywistnienie ich leży całkiem po za sferą naszej możliwości, ponieważ tylko drogą prawodawczą cele tu wskazane osiągnąć by się dały, zatem pozostaje nam jak zwykle — czekać. Sądziimy przecież, że zanim namiejsce dzisiejszej tymczasowości wejdzie stała normalna ustawa banków wiejskich, możeby się dało doprowadzić do tego, aby zebrania gminne osobnemi *ad hoc* uchwałami podejmowały inicjatywę i orędownictwo w władz odpowiedzialnych o dozwolenie pojedynczym kołom, które się w należytych znajdują warunkach, do reformowania się w duchu powyżej wskazanym.

*Sz.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

*Warszawa, d. 6 lipca.*

I znowu zamach — tymczasem na życie prezydenta Stanów Zjednoczonych. W marcu dopiero bieżącego roku zainstalował się



James Garfield w „Białym Domu“ w Waszyngtonie, jako pierwszy urzędnik potężnej republiki, a już w dniu 2 lipca kula mordercy rzuciła go na łóżko, z którego może już nie wstanie. Z licznego szeregu telegramów, zestawiamy następujący treść: Dnia 2 b. m. rano o godzinie 9 Garfield wyjechał z domu powozem na dworzec kolei żelaznej nowojorskiej. W towarzystwie prezydenta znajdowało się kilku ministrów; sekretarz stanu Blaine siedział z Garfieldem w powozie. Gdy przyjeżdżali ku dworcowi, po drodze jakiś wykwintnie ubrany człowiek zaczął ich pilnie obserwować, nie wzbudził jednak w prezydencie lub jego towarzyszu żadnego podejrzenia. Gdy przybyli na dworzec, wkrótce po wyjściu z powozu nieznamy, który obserwował Garfielda w drodze, wystrzelił do niego z rewolweru. „Jestem ranny“ — krzyknął, chwytając się, Garfield. Zebrał się tłum publiczności, która mordercę przytrzymała. Kula przebiła ramię i przeniknęła w biodro, zraniwszy znaczną ranę w okolicy kości pachowej. Rannego odwieziono do mieszkania.

Tak się przedstawia sam fakt. Co do jego przyczyn i charakteru, sprawozdania dziennikarskie opierają się — jak dotąd — na danych bardzo niedokładnych. Wiadomo tylko, że sprawca zamachu nazywa się Gurnison a wedle innych Guiteau, że jest pochodzenia francuskiego, z powołania adwokat. Człowiek ten prześladował od dłuższego czasu prezydenta, domagając się ciągle posłuchań, których mu odmawiano, i pisał listy, które zostawały bez skutku. Podobno chciał zostać konsulem, a widząc, że prezydent go ignoruje, chwycił się drogi zemsty. Jest to najprawdopodobniejsze wytłumaczenie faktu; co jest prawdą, wykazać może tylko śledztwo sądowe. Stan rannego — wedle ostatnich bu-

letynów — jest wprawdzie bardzo wątpliwy pod względem wyzdrowienia, ale podobno nastąpiło jakieś polepszenie. Rządy sprawuje w zastępstwie wiceprezydent Arthur, antagonistą Garfielda.

Z Sofii donoszą o odkryciu spzysiężenia, mającego na celu zamach na życie księcia Aleksandra bułgarskiego. Jak się zdaje, wiadomość ta niema zbyt silnej podstawy faktycznej i służyć ma głównie za pobudkę do dalszego nacisku politycznego. Stronnictwo rządowe uznaje widzieć konieczność dolania jeszcze oliwy do swego ogniska, ponieważ wybory do konstytuancy niezupełnie po myśli księcia wypadły. Mimo wielkiego aparatu agitacyjnego, nie osiągnięto większości  $\frac{2}{3}$  potrzebnej do uchwały o zawieszeniu konstytucji. Rząd poradził sobie praktycznie, co prawda, bo tam gdzie wybrano opozycjonistów, nakazał ponowny wybór, ale na wszelki wypadek dobrze mieć jeszcze materiał zapasowy. Tak sądzą bliżej poinformowane dzienniki zagraniczne, a my do sprawdzenia tego poglądu nie mamy potrzebnych danych.

Zdaje się, że Europa nie dość jeszcze ma konferencyj międzynarodowych, bo znowu proponowano aż dwie naraz nowe. Jedna w kwestyi tunetańskiej, pożądaną jest w parlamencie angielskim; drugą „pasują“ w Bukareszcie dla kwestyi dunajskiej. Prawdopodobnie jednak nie będzie z tej maki chleba, ponieważ ani Francja ze sprawą tunetańską, ani Austria z kwestyą Dunaju nie zechciałyby się poddać pod wyroki konferencyi mocarstw. S. S.

#### KRONIKA BIEŻĄCA.

**Sprawy społeczne.** Warszawa wreszcie doczekała się ulepszeń miast wielkich a mianowicie rozpoczęto jej budowę tramwayów od rogatki Mokotowskiej.

Koncesję na kolej iwagrodzko-dąbrowską otrzymał łącznie pp. Z. Wielopolski, T. Zamojski, A. Ostrowski, S. Karski, W. Rau, spadkobiercy K. Scheiblera, I. Bloch, A. Goldstand, W. Laski.

— Ministerstwo spraw zagranicznych przygotowuje w nowej formie przedstawienie do mocarstw europejskich w przedmiocie ograniczenia prawa schronienia wychodźców politycznych.

— W Petersburgu w Kanale Ekaterynińskim i przy moście Wozniesieńskim czyniono przez kilka dni z rzędu poszukiwania na dnie w celu sprawdzenia, czy nie założono tam min wybuchowych, ale bez rezultatu.

— Ministerstwo komunikacji kończy projekt ustawy ogólnej kasy emerytalnej dróg żelaznych.

— Trzecia tania kuchnia warszawska ma być otwarta na Pradze dla robotników i urzędników kolei teren-polskiej.

**Teatr.** W teatrze letnim Bellevue, grano w tych dniach po raz 20-ty komedję p. Świderskiego *Ojcowizna*. W Alhambrze po raz 15-ty jednoaktówkę St. Dobrzańskiego *Złoty cieciec*.

— Zwykle subsydyum teatrów rządowych w Warszawie w ilości rs. 60,000 zostało utrzymane, a wynagrodzenie za straty podczas żałoby w sumie około 40,00 rs. również ma być wkrótce wypłacone.

#### ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. Z. Korespondencyę Pańską odstąpiliśmy *Nowinom*. Opisy pożarów i t. p. właściwie są dla gazety codziennej. O dostarczanie materiału prosimy.

P. Feliksowi K. w *Dąbrowie Górniczej*. Wysłaliśmy, należy nam się kop. 50.

P. I. Kiersnowskiemu w *Sniaglicy*. Wysłaliśmy po-tównie.

D-rowi A. Modz. *Mińsku*. Jakże zaginione numery?

Pr. w *Krakowie*. Nie, i w tej formie nigdy.

P. A. I. w *Krasnosielce*. Otrzymał.

P. S. Racib. w *Radziwiłłkach*. Posyłamy arkusz zagubiony — nie się nie należy.

#### OGŁOSZENIA.

Administracya „Fabryki Chemicznej wypalania kości“ oraz Fabryk Cukru: „Marya, Lanieta i Izabelin“

**N. MAYZNERA**

w Warszawie, ulica Grzybowska Nr. 11,

uprasza panów obywateli, gospodarzy i ogrodników, o wczesne zamówienia nawozu chemicznego: palonego miału kostnego, zwierzęcego, zwanego **spodium**, zaprawianego kwasem siarczanym według analizy chemicznej. Wczesne zamówienie powyższego jest pożądanem w celu uniknienia odmowy z powodu nadmiaru obstalunków.

3—2

#### DOM HANDLOWY

**Kaniewski i Wasilewski**

w Warszawie Nowo-Senatorska Nr. 5

ma honor polecić na zbliżający się sezon:

Patentowane w Niemczech, Francji, Anglii i na całą Rosyę

#### KARTOFLARKI SYSTEMU GŁĘBOCKIEGO

których wyłączną sprzedaż na Królestwo Polskie i całą Rosyę posiadamy.

Kartoflarka Głębockiego przy obsłudze trzech lub czterech koni i osiemnastu ludzi do zbierania, wyorywa dziennie przeszło 3 morgi trzypostępowe, kartofle układa rzędem bardzo dobrze i nie pozostawia nic w gruncie.

Podług dokładnych obliczeń koszt wykopania korca kartofli wyniesie pięć groszy.

Kartoflarka Głębockiego funkcjonowała w roku zeszłym jak najlepiej u W-go Antoniego Rogawskiego w Kodrębii p. Nowo-Radomsk, który na rok bieżący zamówił u nas 3 egzemplarze.

Ze względu na znaczną już ilość zamówionych Kartoflarek Głębockiego, upraszamy Sz. Panów Ziemian, pragnących nabyć tę maszynę dla uniknięcia zawodu o jaknajwcześniejsze zadatkowanie zamówienia, ponieważ rozprowadzamy już tylko niewielką ilość egzemplarzy.

Cena patentowanej kartoflarki Głębockiego wynosi **Rs. 225 franco Warszawa**.

Szczegółowe opisy ze świadectwami o użyteczności i praktyczności tej maszyny znanych wzorowych i postępowych gospodarzy na każde żądanie odwrotną przesyłamy pocztą. 2—1

#### KWESTYA POLSKA

W LITERATURZE ROSYJSKIEJ

**M. Pypina**

przekład z rosyjskiego.

Cena egzemplarza rs. 1.

Dostać można w redakcyi *Prawdy*, oraz za pośrednictwem księgarni.

Prenumeratory „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Abonentów *Historji Filozofii* Langego prosimy o zwracanie się we wszelkich żądaniach bezpośrednio do wydawcy tej książki (B. Lesman, Orła 2).